

STANISŁAWOWI LEMOWI
najlepsze życzenia urodzinowe
składa
redakcja
„Dekady Literackiej”

L. DEKADA Literacka

MIESIĘCZNIK KULTURALNY Nr 9/10 (179/180) Rok XI wrzesień/październik 2001 KRAKÓW

ROBERT OSTASZEWSKI	Niszowcy i swobodne elektrony	5
MARIUSZ SIENIEWICZ, JERZY FRANCZAK, MICHAŁ WITKOWSKI, DANIEL ODIJA, MICHAŁ NAWROCKI, MIŁKA MALZAHN, WOJCIECH KUCZOK	Inspiracje i frustracje	9
MICHAŁ NAWROCKI	METAFIZYCZNY MRÓWKOJAD	18
DANIEL ODIJA	MELISA	30
MARIUSZ SIENIEWICZ	ZŁODZIEJ	40
MIŁKA MALZAHN	SPACER	54
Rozmowa z JOHNEM BERGEREM	„Dekady” Widzenie poprzedza słowa	64
BOGDAN ROGATKO	PROZA LAT DZIEWIĘDZIESIĄTYCH	68
CHRISTINE BUSTA	WIERSZE	79
KRZYSZTOF BIEDRZYCKI	Naciśnij enter	80
TOMASZ KUNZ	Sztuka powieści	87
ZBIGNIEW PUCEK	Asterix albo widok na wieżę Babel	94
AGNIESZKA KOSIŃSKA	Polska Bridget Jones	102
EWA MROWCZYK-HEARFIELD	Miasto książek	106
STANISŁAW RODZIŃSKI	STANISŁAW FRENKIEL 1918-2001 Wspomnienie o przyjacielu	110
JOANNA WOJNICKA	Dziennik trzydziestolatki	116
MARTA WYKA	Fantomy: Przerwy podrózne	120
Camera obscura 127	Książki nadesłane 129	Przegląd prasy 131
Giełda talentów 134	Kronika żałobna 136	Kronika 139

Robert Ostaszewski

NISZOWCY I SWOBODNE ELEKTRONY

NAJKRÓTSZY PRZEWODNIK
PO NAJMŁODSZEJ PROZIE

Dlaczego najkrótszy? Jeden powód jest techniczny: szczupłość miejsca, bo przecież najważniejsze w niniejszym numerze „Dekady Literackiej” mają być teksty młodych prozaików, a mój przewodnik spełniać ma jedynie rolę niezbędnego wprowadzenia. Drugi natomiast – jak najbardziej merytoryczny. Otóż przestrzeń, po której będę czytelników oprowadzał jest dosyć niewielka, żadne tam przepastne regały biblioteczne, raczej skromna półeczka ścienna.

Nie od rzeczy będzie w tym miejscu zastanowić się, dlaczego w gruncie rzeczy tak niewielu mamy młodych prozaików. Jeszcze dziesięć lat temu debiuty

sypały się jak z rogu obfitości, nieomalże co miesiąc pojawiała się na literackiej giełdzie nowe nazwisko. Czyżby teraz mniej młodych niż kiedyś próbowało swoich sił w literaturze? Nie sądzę. Po prostu ostatnimi czasy zdecydowanie zmieniły się warunki funkcjonowania literatury. Można to nazwać normalizacją albo kolejną wywrotką do góry nogami, interpretacja zależy od punktu widzenia. Najmłodszy prozaicy (jedno wyjaśnienie: za najmłodszych prozaików uważam przede wszystkim tych, którzy urodzili się w latach 70. i zaczęli debiutować u schyłku ostatniej dekady ubiegłego wieku, czyli już po zakończeniu karnawału

NISZOWCY SWOBODNE ELEKTRONY

ną imprezę, której głównymi bohaterami będą młodzi prozaicy.

Działania pism działaniami pism, ale najważniejsze są przecież konkretne książki. W serii wydawniczej „Portretu” pokazały się dwie interesujące prozy, *Japońska wioska* (1999) Joanny Wilengowskiej oraz *Prababka* (1999) Mariusza Sieniewicza. W obszernej już, ale bardzo nierównej, ‘Bibliotece „Studium”’ znaleźć można oprócz wymienionej przeze mnie książki Kuczoka także zbiory opowiadań innych młodych prozaików: Macieja Dajnowskiego *Opowieści garmazeryjne* (1999), Radosława Kobierskiego *Wiek rębny* (2000) czy Michała Witkowskiego *Copyright* (2001). Natomiast w przypadku propozycji zawartych w ‘Kolekcji „Ha!artu”’ obiecująco wyglądają dokonania bardzo młodego (ur. 1978 r.) Jerzego Franczaka, czyli debiutancki tom opowiadań *Trzy historie* (2001).

WOLNE ELEKTRONY

Oprócz prozaików kojarzonych z niszowymi środowiskami „Portretu”, „Studium” czy „Ha!artu” pojawili się oczywiście pisarze próbujący zaistnieć bez pomocy środowiskowego zaplecza, na własną rękę szukający szansy wejścia do literatury. Zresztą różnica pomiędzy niszowcami a wolnymi elektronami w przypadku najmłodszych prozaików jest w gruncie rzeczy niewielka. I jedni, i drudzy na każdym kroku podkreślają swoją niezależność, odrębność; chętniej wskazują na to, co ich różni od rówieśników, niż na to, co może ich połączyć. Nawet więc w odniesieniu do niszowców należy mówić jedynie o wspólnotach interesów, tworzonych w celu osiągnięcia do-

rażnych celów (przede wszystkim zapewnienia sobie możliwości druku), a nie środowiskach występujących ze spójną wizją światopoglądowo-estetyczną.

I tutaj lista nazwisk nie jest imponująca. O Fedorowiczu i Małyszku już wspominałem. Wymienić można jeszcze autora tomu opowiadań *Najlepsze polskie opowiadania* (1999) Łukasza Gorczycę, Daniela Odiję, który oprócz tomu opowiadań opublikował niedawno powieść zatytułowaną *Ulica* (2001), a także jedną z nielicznych piszących pań z roczników 70., czyli Miłkę Malzahn, która na swoim koncie ma zbiór próz *Baronowa Późna Jesień* (2001).

TYLKO NIE POKOLENIE, PROSZĘ

Tym, którzy tu i ówdzie obwieszczają już, że oto pojawiło się w naszej literaturze nowe pokolenie literackie, najmłodszy pisarze odpowiadają zdecydowanie: nie tworzymy pokolenia, nie doświadczyliśmy wspólnie „przeżycia pokoleniowego”, każdy z nas jest inny, inaczej postrzega świat i miejsce literatury w nim. Sam jestem zdania, że mówienie o pokoleniu roczników 70. to spora przesada. Warto chyba jednak zadać pytanie, dlaczego najmłodszy pisarze mają skłonność do ustawiania się z boku swoich rówieśników, mimo iż stworzenie i promowanie pokoleniowej fikcji – pokazały to dowodnie przygody na literackim rynku pisarzy z roczników 60. – może przynieść (choć oczywiście wcale nie musi) spore korzyści, zgodnie z zasadą, że „większy może więcej” (inna wersja: „w kupie różniej”). Po części wynika to z chęci odcięcia się od praktyk trzydziestolatków: oni eksploatowali pokolenio-



Redakcja „Dekady Literackiej” zwróciła się do prozaików z roczników 70. z następującymi pytaniami:

1) Jakie teksty kultury (książki, filmy, muzyka itd.) ukształtowały Panią /Pana jako pisarza?

2) Jak widzi Pani/ Pan miejsce i znaczenie młodej prozy na rynku literackim dzisiaj?

Mariusz Sieniewicz:

1. Nie wiem. Moja niewiedza, niepewność dotyczy owego „kształtowania mnie jako pisarza”. Jestem na początku drogi, dorobek mój ubogi – chciałoby się zarapować. Wolę powiedzieć o tekstach kształtujących mnie po prostu jako człowieka – grafomana i kolesia, któremu coś tam w pisaniu wyszło, szaraczka i narcyza, dla kilku przyjaciela, dla kilku wroga, a dla większości anonimowego egzemplarza populacyjnej statystyki. Nie wiem też, na ile one mnie „uksztaltowały”, a na ile są moim „wyobrażeniem” tegoż ukształtowania. Cóż, ryzyko chciejstwa i projekcji.

Książkami ważnymi były dla mnie i są zawsze te zapisy ludzkich myśli, emocji i przeżyć, które działają – jak to trafnie ujął Kafka – niczym siekiera na zamarzające w nas morze stagnacji. Pobudzają, wkurzają, są jak doping, używka, rozstrojenie nerwowe intelektu, a przede wszystkim leżą na krańcach ideologicznych systemów, doktryn z pieczętką dogmatu. To teksty w drodze, w wertykalnym, horyzontalnym i orbitalnym ruchu znaczeń. Muszą być w pewnym sensie nagie, muszą mnie przekonać, bym stał się podglądaczem cudzego języka i cudzej wrażliwości. A z podglądacza – uczestnikiem. Nad wszystkimi lekturami, które zaciążyły na moim czuciu rzeczywistości, unoszą się dwie kluczowe myśli Nietzschego. Pierwsza dotycząca imperatywu indywidualności: „takim jestem, takim być chcę – was niech diabli wezmą”. Chyba nie sposób pisać prawdziwie, ani szczerze żyć, nie zgadzając się z tymi słowami. To czerwone światło dla myślowych i życiowych kompromisów. Drugą myśl Nietzscheańską: „złagodzenie obyczajów jest oznaką naszej słabości” wykorzystuję jako bicz na wszelkie relatywizmy i nihilizmy, którym staram się nie poddać, coś w rodzaju kreacyjnego *ordnung must sein*. To świadomość, iż istnieję w określonej wspólnotcie i muszę wobec niej grać fair, z poszanowaniem reguł obowiązujących w świecie, należącym również i do innych ludzi.

Po kolei więc. Na pewno Witold Gombrowicz – bliska mi jest jego metoda i zarazem strategia oglądu siebie i rzeczywistości, groteska nicująca wszelkie aberracje oraz dystans pozwalający odczuć swoją egzystencję w odbiciu drugiego człowieka i na odwrót. Swego cza-

ujął to Robert Ostaszewski nazywając twórców młodej prozy „dziećmi gorszej koniunktury”. Minęło pięć minut literatury na rynku medialnym, stąd i rynek literacki zmienił się diametralnie. Zważywszy na problemy młodych twórców z wydaniem książki, kolportażem, odsunięciem od – i tak dziwnych i niezrozumiałych – gier promocyjno-marketingowych, prozie urodzonych po roku 1970 grozi offowość, zepchnięcie na margines, wprost do szarej, jeśli nie czarnej strefy hobbistycznych lektur. Media i promotorzy literatury znudzili się kierunkiem „bruLionowym”, czy „Nowo Nurtowym”, powraca stary garnitur nazwisk, a i niedawni „młodzi” chętnie w ten garnitur wskakują. Młoda proza uległa złudnej nadziei, że *filing* na młodych będzie trwał i trwał w nieskończoność. A tu, raptowne rozczarowanie i mniej lub lepiej skrywana gorycz, *boom* stał się medialną czkawką. Zresztą, to nawet i dobrze. Budowanie wizerunku twórcy na wzór filmowych i telewizyjnych gwiazdek nie służy na dłuższą metę literaturze. Czasami mam wrażenie, że młoda proza jest niepotrzebna w tym kraju, ale na szczęście to, że piszę wynika z mojej, tylko mojej potrzeby, i to wystarczający powód, żeby pisać, z kraju nie wyjeżdżać i nie słuchać złotoustych katastrofistów. Tak widzę problemy zewnętrzne.

Do problemów wewnętrznych, chyba o wiele istotniejszych, zaliczyłbym brak lokomotywy krytycznoliterackiej i semaforów, kierujących ruchem okołoprozatorskim. Omawianie kolejnych książek młodych twórców przez młodych krytyków jest rozpalaniem zapalki – żarliwym, często ocierającym się w swym zapale i wierze o koterię, ale krótkotrwa-

łym. Może kwas w tym, że w obrębie samego pokolenia nie umiemy, a nawet nie chcemy ideowej dyskusji, bez oglądania się na tzw. starych, bez tworzenia sezonowych i rozdętych list przebojów. Młoda proza to pływanie we własnych, odseparowanych akwariach. A każdy patrzy jak mu się twórcza łuska srebrzy, podczas gdy okazać się może, że całościowo jesteśmy jedynie złuszczonego ogonem autorów urodzonych po roku sześćdziesiątym. Kolejna sprawa: taka idiotyczna schizofrenia – z jednej strony mówienie o generacyjnych klamrach, o krzepnięciu pokolenia młodych prozaików, z drugiej – problem wskazania konkretnych nazwisk, konkretnych książek, które by to pokolenie uzasadniało. Dlatego młoda proza musi się zdecydować: albo „kupą, mości panowie!”, albo w pojedynkę w tej literaturze się zakorzeniać.

Zresztą jak tu stawiać generalizujące diagnozy w skali makro, przeprowadzać wnikliwe analizy *en bloc*, kiedy nie wiem, czy napisaną książkę uda mi się wydać za miesiąc, za rok, a może pięć lat. I w takiej sytuacji znajduje się oczywiście wielu młodych prozaików, co – biorąc pod uwagę skromną reprezentację książkową mojego pokolenia – jest problemem wewnętrznym i zewnętrznym. Jak rozmawiać, dyskutować o zjawiskach młodej prozy, gdy twórców mających za sobą więcej niż jedną książkę można policzyć na palcach dwóch rąk, i jeszcze może kciuk i wskazujący zostanie. Jeśli coś nie drgnie, rozmowę o nas (!), prozaikach (!), młodych twórcach (!) zaczynać się będzie się od środkowego palca wzniesionego do góry.

Mariusz Sieniewicz

c. Ale tak łatwo nie wymigam się od odpowiedzi;

co prawda pominę milczeniem wczesny, obejmujący ostatnie lata szkoły podstawowej okres fascynacji literaturą science-fiction, zwłaszcza tą spod znaku Dicka –

nie wspomnę nawet o poezji surrealistów, prozie Joyce’a i Becketta, o Gombrowiczu też jakoś nie przystoi –

nie zapomnę jednak ani o szedewrach Pereca, ani o *Obłądnie* Krzysztonia, ani tym bardziej o kunsztownych fantazjach Marcela Aymé.

Wymienię ich i natychmiast zacznę się zapewniać – jak każdy grafoman, tj. „taki, co to nie może żyć ani bez pisania, ani z pisania” – że teksty te ukształtowały mnie jako mnie, ja urobiłem w sobie (i wobec innych) „pisarza”, a ten „pisarz”, choć cały czas w cudzysłowie, urabia teraz mnie, jak mu się podoba.

I vice versa.

Michał Witkowski:

I. Wydaje mi się, że głównym zadaniem pisarza jest, w pewnym sensie, nie dać się za bardzo ukształtować tekstom kultury, a raczej samemu się ukształtować zgodnie z tym, co w nim niepowtarzalne, jedyne, nie zaczerpnięte z zewnątrz. Dlatego zawsze starałem się w pisaniu czerpać spoza kultury, z zupełnie innych warstw (wrażliwości? świadomości?). Często jednak bywa tak, że jakieś dzieło poprzez olbrzymie wrażenie, jakie na nas robi, wzbudza coś na podobieństwo zazdrości. Wtedy rodzi się myśl: „ja też chcę coś zrobić, skoro do takich efektów można dojść!” Niektórzy nazywają to inspi-

racją, w takim razie mnie zainspirowałyby następujące rzeczy: 1) Literatura: poezja amerykańska XX wieku przyswojona mi wspaniałomyślnie przez kolegów z „Literatury na Świecie”, Barańczaka, Musiała i innych; powieści Izabeli Filipiak *Niebieska menażeria*, Ewy Kuryluk *Grand Hotel Oriental* i Andrzeja Stasiuka (wszystko), dalej – „polskie” opowiadania Marka Hłaski. 2) Film. Ma wielki wpływ na moją prozę. Najpierw reżyserzy i tytuły: Wim Wenders (*Niebo nad Berlinem*, *Buena Vista Social Club*), Lars von Trier (*Idioci*). Tu mogę podać konkretny przykład: w mojej pierwszej książce, w opowiadaniu *Kurs*, starałem się zastosować obrazowanie inspirowane założeniami Dogmy, np. w scenie gry w piłkę obraz wygląda, jak przy kręceniu amatorską kamerą „z ręki” – raz widać tylko buty grających, nagle jest zbliżenie na sznurówadło, potem nagle ekran zalewa niebo. Kolory przy tym są ostre, jakby z taniej kliszy. W następnej książce będzie wyłącznie ten typ obrazowania. Danny Boyle (*Trainspotting*), Jim Jarmusch (*Truposz*), Werner Herzog (*Stroszek* – jeden z najbardziej inspirujących koszarów, jakie udało mi się przeżyć), David Lynch (*Blue Velvet*, *Miasteczko Twin Peaks* – ten człowiek ma chorą wyobraźnię, uwielbiam go). 3) Sztuki teatralne. Kto wie, czy nie jeszcze ważniejsze dla mnie. I tak w kolejności: teatr Leszka Mądzika, teatr „Towarzystwa Wierszalin”, sztuki teatralne genialnego austriackiego dramaturga – samobójcy Wenera Schwaba (np. *Prezydentki* w reż. K. Lupy, *Zagłada ludu*, *Korowód* – ten człowiek sieje zniszczenie już na poziomie języka, świat widzi jako kloakę i to samo wydobywa się z ust aktorów), no i oczywiście teatralny odpowiednik *Train-*

MICHAŁ WITKOWSKI
ur. 1975, prozaik,
krytyk literacki,
opublikował tom
opowiadań
Copyright
(Kraków 2001);
mieszka we
Wrocławiu.

Pascal i Jung, źródłem inspiracji św. Augustyn, Miłosz, Ezra Pound, Eliot... Z filmów ważne dokonania Herzoga z Kiniskim w roli głównej, poczucie humoru Buñuela, nie zapominam o *Misiu*, *Rejsie* i takich tam... Wiele tego było: *Lot nad kulczym gniazdem*, *Lśnienie*, *Blade Runner*, ale sny i tak są lepsze. Muzyka to King Crimson, Bob Dylan, Bach, Miles Davis i Tom Waits i Talking Heads i... wiele tego jest i czasem wydaje mi się, że muzyka jest najważniejsza, choć bezpardonowo rządzi emocjami i człowiek może w sobie odkryć niewolnika...

2. Miejsce młodej prozy jest zawsze takie samo – za starymi. Dopiero, gdy się zestarzeje, będzie przed młodymi. Oczywiście, młoda proza odświeża sposób obserwacji świata, który być może jest weselszy niż się wydaje, ale czasami ciężko to zauważyć i przykro jest patrzeć, bo nie ma z czego się śmiać, a jak już jest to wcale nie do śmiechu i takie tam...

Michał Nawrocki:

1. Książki:

– Nabokov – przede wszystkim *Lolita* i *Blady ogień*,

– Poe – wszystko,

– Vonnegut – wszystko (z wyjątkiem może *Matki nocy*),

– Stephen King – ze szczególnym uwzględnieniem tekstów wcześniejszych (*Lśnienie*, *To*, *Smętarz dla zwierzaków*),

– Czesi: Bohumil Hrabal (przede wszystkim *Pociągi pod specjalnym nadzorem* i *Zbyt głośna samotność*), Milan Kundera (eseistyka i może *Nieznośna lekkość bytu* choć tłumaczenie Agnieszki Holland poniżej krytyki), Ladislav Fuks,

– Polacy: Prus – *Lalka* (wciąż najlepsza polska powieść), Schulz – wszystko, Andrzejewski – *Miazga* i może *Idzie skacząc po górach*, Jerzy Pilch – większość rzeczy, Andrzej Bart – *Pociąg do podróży*, Andrzej Sapkowski – prawie wszystko.

Reszta:

Muzyki mało (tzn. słucham dużo, ale mało to wpływa na moje pisanie). Co do innych: Monty Python (zwłaszcza *Sens życia*) oraz Terry Gilliam (zwłaszcza *The Fisher King*), bracia Cohen (zwłaszcza *Barton Fink* i *Big Lebowski*), Tom Stoppard: *Rosenkrantz i Guildenstern nie żyją*, Quentin Tarantino (zwłaszcza *Pulp Fiction* i *Wściekle Psy*), *Delicatessen* i *Rejs* może jeszcze. I niektóre sztuki Bogusława Schaeffera (ale tylko w reżyserii Mikołaja Grabowskiego).

2. Ja – przepraszam bardzo – nie widzę takiego miejsca. Być może go nie dostrzegam. A być może ono nie istnieje. Za młodych uchodzą niedobitki z „bru-Lionu”. Rynek literacki zatem – podkreślam: rynek – zagarnęli tacy młodziaczkowie jak Tokarczuk, Stasiuk, Gretkowska, czy nie daj Boże, Filipiak. Alternatywę dla nich stanowi Marek Bieńczyk. Taka sytuacja może potrwać jeszcze kilkadziesiąt lat.

Co do znaczenia tzw. młodej prozy – jej realne oddziaływanie jest niewielkie lub żadne. Oczywiście można powiedzieć, że istnieją enklawy, gdzie się młodych czyta. Tylko, że raczej to oni się czytają nawzajem. Bo są to tak naprawdę towarzystwa wzajemnej adoracji, gdzie nikt nikomu krzywdy nie robi. (Na samej Gołębiej podejmuję się znaleźć przynajmniej dwie takie ekipy; w obrębie Rynku dwadzieścia.) Nawet, jeżeli trafi się jakiś talent, to zginie. Nawet jeśli

recenzji poświęconych mojemu zbiorowi opowiadań. Co ciekawe: im młodszy krytyk mnie recenzował, tym zacieklej wyliczał autorów, których kosztem rzekomo wzbogaciłem swoją wyobraźnię.

Nie mogę się tu oprzeć dygresji. Jerzy Sosnowski, by móc w spokoju ducha ujawnić się w charakterze prozaika, zaniechał przed paru laty kariery krytyka literackiego (choć spełniał się w tej roli znakomicie). Gest to dla mnie klarowny etycznie i przykładowy.

Tym bardziej ohydne są dla mnie całe zastępy młodocianych pretendentów do kanapy literackiej, którzy nie dostrzegają sprzeczności w jednoczesnym tworzeniu prozy, lub też poezji, i pastwienie się nad dziełami swoich kolegów po fachu. Zdaje się tym *krytykom*, że – skoro nikt im nie zamierza usłać drogi czerwonym dywanem – sami ją sobie chcą usłać trupami rywali. I chlastają ich na łamach wybiedzonych periodyków, chlastają, do *usłanej* śmierci... Ich trzeba by pytać o miejsce i znaczenie młodej prozy na **rynku literackim** – to, co dla mnie brzmi jak oksymoron, jest dla nich nieobce, bo już na starcie stosują metody *stricte* wolnorynkowe: żeby samemu wypłynąć, musisz utopić innych.

Swoją drogą, nie od rzeczy będzie więc przyznać rację wyznawcom wędrówki tekstów: zapewne **wszystko**, co przeczytane, usłyszane, lub też zobaczone oddaję kulturze w mowie niewiązanej. Jeśli więc zadaniem krytyków jest pytać: *lecz myśl ta czyja? (samo się nie myśli)*, ich wysiłki są skazane na sukces, z którego przecież niewiele wynika. Nie mogę jednak odebrać nikomu przyjemności stosowania nad moją prozą filologicznego stetoskopu, i tych rozkosznych

eurek, kiedy się uda odkryć intertekstualne szmery.

Jednakowoż – źródła mojego pisarstwa biją poza kulturą. Tę degustuję, w niej partycypuję, ale chce mi się pisać nie z jej powodu. Chce mi się zaś, bo trudno mi zdławić napady panteizmu, jakim ulegałem na ten przykład po odcisnięciu stóp w dziewiczym namulisku Ciesęcia, wyjściu z dna Bańdziocha Komińskiego, ale i zwykłym niedzielnym prowadzeniu Lewego Komina na Sokołicy, dopłynięciu Biebrzą do Jagłowa, czy choćby wizycie u księdza Władzia w Jur-gowie (o jego krewnych z Gronia już nie wspominając).

Co tam kultura i jej teksty; nie żyłbym – więc i nie pisał – gdyby nie *Reisefieber*.

2. Co do rynku, wystarczy mi ten krakowski. Miejsca na nim dużo dla każdej literatury, bo księgarń dostatek. Parę razy wystawiono w witrynie *Słychane*, mogłem sobie popatrzeć przez szybę na własną zatokę czołową, trzeba przyznać, że to miejsce nie było bez znaczenia.

Cóż znaczą książki w kraju toczonym przez ochlokrację; cóż za znaczenie mają konstatacje frustratów, którymi nie mogą nie być wszyscy ludzie kultury współczesnej?

Dopóki wolny zawód literata będzie bez narażania rodziny na śmierć głodową uprawiało w Polsce kilka osób, rozmowa o sytuacji młodej prozy na rynku literackim musi przybierać formę chłosty-panelu. Wzajemne biczowanie przerywa się wtedy tylko po to, by obnażyć przed sobą rany i przedyskutować stopień ich zaropienia. Nie chciałbym się włączać do takiej sesji.

Wojciech Kuczok

WOJCIECH
KUCZOK
ur. 1972 r.; poeta,
prozaik; jego
debiutancki tom
opowiadań
*Opowieści
słychane*
otrzymał
nominację do
Nagrody Nike.

ROZDZIAŁ IX

1. (Piątek)

Wstrząśnięty twym pięknem, niedowierzający i rozkosznie upokorzony własnym niedowierzaniem. Nie potrafię nie myśleć o tobie, o twoim owadziodelikatnym ciele. Nie potrafię oderwać wzroku od twoich wąskich, chłopcycych bioder. Gdy leniwie przeciągasz się w manierycznym światłocieniu, gdy odrzucasz głowę do tyłu, przymykając swoje ciężkie, ciemne powieki, gdy lekko rozchyłasz usta, unosisz ramiona i splatasz palce na karku... nie potrafię nasycić się twoim widokiem. Nie potrafię się tobą nasycić. Nie potrafię nasycić się twoimi rozłożonymi udami, które w takich chwilach przypominają rozłożone skrzydła motyla. Patrzę na ciebie, na opalizujące arabeski i na refleksy złota na twoich ramionach i piersiach.

Pożądaję cię somatycznie, pożądaję cię każdą komórką mojego rozpalonego do białości jestestwa. Patrzę na ciebie, dotykam cię, smakuję twój dotyk, a moje zakończenia nerwowe śpiewają upojną, choć bluźnierczą pieśń nad pieśniami.

2. (Sobota)

Coś mi tu nie gra.

Nie pisałbym tego, nie zaczynałbym tej idiotycznej i ze wszech miar godnej pogardy skrobaniny gdyby nie fakt, że coś mi tu nie gra. Jeszcze nie wiem, co... I mam nadzieję, że te notatki pomogą mi się dowiedzieć.

Zadurzyłem się w niej beznadziejnie. Jest jak narkotyk, a ja wchłaniam ją wszystkimi porami mojej świadomości. Jest jak alkohol, który chlam i dobrze mi z tym.

Nie mówi wiele o sobie, a ja nie pytam... Podobnie zresztą ją nie interesuje moje życie. Przyjechała tu z Francji na parę miesięcy, ale nie wiem dokładnie, czym się tam zajmuje. Po polsku mówi bez akcentu. Fakt, że uczę w szkole, śmieszy ją niepomieranie... podobnie zresztą, jak mnie. Ghost jest jakimś jej dalekim krewnym. Mówi, że nie wie, dokąd pojechał i nie wie, kiedy wróci. Sam chciałbym z nim pogadać.

Dziś wieczór planujemy wypad do Miasta (Mantis religiosa). Chcemy poszaleć. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Na razie leżę na łóżku w wielkiej, okropnie zimnej sypialni w domu Ghosta i nasłuchuję. Ciśnienie powoli wraca do normy. W prawej pachwinie mięsień, o którego istnieniu nie miałem dotąd pojęcia, a który przez ostatnie dwie godziny szalał jak tańczący derwisz, uspokaja się.

Anny-Gabrieli nie ma w pokoju. Wyszła do łazienki. Sądzę, że mógłbym wstać i iść do niej, ale nie chce mi się; parę godzin gorączkowej jazdy bez ha-

METAFIZYCZNY MRÓWKOJAD

te oczy stały się ogromniejsze. Wyglądała jeszcze bardziej ulotnie, efemerycznie i elfio, niż zazwyczaj. Oprócz tego jednak, nie widać było po niej trudów minionej nocy. Jeżeli chodzi o mnie, to (cytując klasyka) czułem się równie świeżo jak gacie hutnika po nocnej zmianie albo (ten sam klasyk) jak pudło z trocinami, w którym kotka powiła sześcioro małych.

Zjedliśmy coś potem w jakiejś małej knajpie. Po wypiciu szóstej kawy zacząłem sobie powoli przypominać, jak się nazywam.

Nie byłem w nastroju do konwersacji. Unikałem rozmowy, z konieczności wydalając z siebie jakieś zdawkowe mruknięcia. Zdaje się, że jej to bynajmniej nie przeszkadzało. Z jej warg nie znikał ten mądry, koci uśmieszek... Tak uśmiechają się małe dziewczynki, gdy wiedzą o czymś, czego nie wie nikt inny, ale nie mogą niczego powiedzieć, nie mogą pisać ani słówka, bo poprzysięgły. Tak właśnie wyglądała. Jakby była małą dziewczynką i właśnie podglądnęła starszą siostrę, całującą się z przystojnym kuzynem.

– Co cię tak śmieszy? – nie wytrzymałem w końcu.

– Nic – odparła, nie przestając się uśmiechać.

Zapłaciłem rachunek i wyszliśmy na ulicę. Wyjątkowo ciepła i słoneczna pogoda wybrała sobie na to popołudnie swoje – czasowe zapewne – *locum*. Miasto (*Mantis religiosa*) tonęło w potokach światła. Krople czystego złota lśniły na krawężnikach; świetliste strumienie ściekały po rynnach i latarniach. Dookoła głowy roilo się od migotliwych miedzianych i mosiężnych insektów. Przerażliwie żółte wyimaginowane osy latały w rozedrganym powietrzu. Środkiem ulicy wędrowały słoneczne pajęczki, zostawiając za sobą w topniejącym asfalcie złociste smugi.

Słowem – samogwałt impresjonisty.

A może po prostu miałem kaca.

– Zostawię cię teraz – powiedziała Anna-Gabriela. Światło tańczyło sambę na jej złotym łańcuszku i medalionie w kształcie ćmy.

– Myślałem, że będziemy wracać razem.

– Wiem, ale muszę coś jeszcze załatwić. Sama.

– I akurat teraz ci się to przypomniało?

Zmarszczyła brwi.

– Nie – odparła. – Nie przypomniało mi się to akurat teraz. Pamiętałam o tym i planowałam to od samego początku. Tylko, że nie chciałam ci o tym mówić wcześniej.

– Okłamałaś mnie? Czemu?

Uśmiechnęła się. Znowu była małą dziewczynką, która nabija na szpilkę małego, niezaprzeczalnie wrednego, lecz przecież całkowicie bezbronnego robaczka.

– Jeżeli ci powiem, że dlatego, żeby nie wyjść z wprawy, to mi uwierzysz?

METAFIZYCZNY MRÓWKOJAD

gły... Do chwili, w której potknąłem się i niewiele brakło, a byłbym wyciągnął się na chodniku jak długi, ku ucieście gawiedzi. Pojąłem wtedy, że jest to ostrzeżenie, które zsyła mi samo niebo – a Herr Katzenjammer zawzięcie stepujący po płaszczyznach moich płatów czołowych ponownie potwierdził to gromkim jodłowaniem. Zwiększyłem zatem dystans i starałem się pilnować tej przynajmniej na pozór bezpiecznej odległości. Nie szarżowałem już i z największą powagą brałem udział w tej, przyznaję, arcyniepoważnej hecy. Anna-Gabriela okazała się najłatwiejszym na świecie obiektem do śledzenia i nie obejrzała się za siebie ani raz.

Nasza wędrówka trwała w przybliżeniu około dwadzieścia minut i przez większą część jej trwania bawiłem się zupełnie przyzwoicie. Może była to zabawa głupia, ale wciągnęła mnie. Zresztą, byłem naprawdę ciekaw, dlaczego moja niepowtarzalna nagle zmieniła plany.

Nie chcę nikogo zadręczać szczegółowymi opisami, nie chcę stopniować napięcia, nie chcę silić się na – mniej lub bardziej – tandetny dramatyzm. Sytuacja, w której nagle się znalazłem była tak przerażająca, że żaden opis (a zwłaszcza moje nieudolne próby) nie może oddać jej okropności... Tym bardziej, że nie chciałbym, by ktokolwiek popełnił w tym wypadku odwieczną czytelniczą pomyłkę i, jak to celnie ujął stary Edgar, autentyczną groźę uznał za barok.

Zatem najkrócej. Najkrócej jak potrafię.

W pewnej chwili Anna-Gabriela zatrzymała się. Czekwała krótko. Podeszła do niej kobieta. Przywitały się. Później obydwie zniknęły za rogiem.

To wszystko.

A ja zostałem na miejscu. Już mi się odechciało śledztwa. Miałem – jak powiada poeta – temat do refleksji. Otóż kobietą, z którą spotkała się Anna-Gabriela była Anna-Gabriela.

Moja ukochana spotkała się sama ze sobą.

4. (Poniedziałek)

To wszystko się nie stało. Nie ma takiej możliwości. Nie i już.

Przywidziało mi się.

Teraz już jestem tego pewien. Anna-Gabriela nie wróciła na noc. Mogłem się wreszcie przespać bez przeszkód i bez snów; to przyniosło mi ukojenie i opamiętanie.

A na drugi dzień szkoła. Mało na świecie jest rzeczy bardziej przepelniających rozpaczą i melancholią, niż zbaraniałe, smutne oczy młodzieży licealnej.

Codzienna porcja kretynizmów. Przez jakie „u” pisze się słowo „dupa”? Przez zwykłe, najzwyklejsze w świecie, kwiecie mój niejednokrotnie pąsowy. I dalej, *go west young men*. Co oznacza wyraz „schizofrenia”? Niech będą przekle-



Fotografia Agnieszka Kamińska

zafundować sobie piwo, a nie halucynacje. Poniedziałkowy wieczór przyniósł pewność, że przywidziało mi się to wszystko. Tak bardzo chciałem zobaczyć coś dziwnego, że w końcu zobaczyłem.

Metafizyczny mrówkojad.

METAFIZYCZNY MRÓWKOJAD

Na razie czekam. Przyciśniłem się i czekam. Czekam, aż się odsłonisz.
Ciekawe, czym jesteś duchem?

7. (Czwartek)

Godziny gorączkowej, obłąkanej miłości. Kaskady pożądania. Eony nienasyceń. Nie wypuszcza mnie z łóżka. Chce wykorzystać czas do powrotu Ghosta. Wyssać wszystko z intymnego czasu i przestrzeni. Niech będzie i tak, wszystko mi jedno.

Wziąłem trzy dni urlopu, w szkole powiedziałem, że mam grypę. Znajomy konował, od którego kupiłem lewe zwolnienie (ten sam od zaświadczenia o mojej całkowitej impotencji), orzekł, że niezależnie od wszystkiego, wyglądam źle. Nie wiem, czym się pan teraz zajmuje – tu mrugnął do mnie oblesnie – ale niech pan sobie trochę odpocznie. Ja nie żartuję. Wychudły, drżący, błydy, oczy podkrążone. Wygląda pan jak swój własny cień. Połowa tego człowieka, co kiedyś.

To wspomniały układ, panie doktorze. Jeżeli tak dalej pójdzie, za parę dni będzie mnie znowu o połowę mniej, a potem znowu połowa z tego, co poprzednio zostało... Według pobieżnych obliczeń, za miesiąc dwa, przy odrobinie szczęścia i koniecznej konsekwencji, powinienem zupełnie zniknąć. Bardzo mi taka perspektywa odpowiada; rozpląnąć się w niebycie i przestać istnieć.

Tym bardziej, że ja już i tak istnieję raczej hipotetycznie... Cierpię bowiem na postępującą atrofię osobowości... Kosztem pewnego cudownie jadowitego owada, który wysysa moje ego... Kosztem własnego obłądnego niedosytu... Tak. Zniknąć będzie bardzo miło.

Powiedział, żebym zrobił sobie badania. I to szybko.

Bardzo mnie ta jego troska wzruszyła. Niewiele brakło, a byłbym się rozplakał.

8. (Później, tego samego dnia, wieczorem)

Zabawa na całego. Zastawiam pułapki, kluczę, nawarstwiam wątki. Ścigający i ścigany. Ona ciągle nie podejrzewa, że ja podejrzewam. Jestem cierpliwy. Wyczerpany, nieszczęśliwy, zmięty. Ale cierpliwy. Andromeda nie da, Andromacha nie pomacha, a Arachne tylko się zachnie. Zobaczymy.

Zobaczymy.

9. Zwariowałem. A jeżeli nie, to istnieją następujące możliwości.

a) Albo Anna-Gabriela prowadzi ze mną grę, która polega na tym, że sugeruje mi, iż mam do czynienia z drugą osobą; z kimś, kto jest do mojej Migotliwej niezwykle podobny. Wydaje mi się, że niezwykle jej zależy na tym, żebym uwierzył, iż oprócz niej jest ta druga... I muszę przyznać: jej gra jest bardzo

METAFIZYCZNY MRÓWKOJAD

zie pokłóciliśmy się okropnie. Nie widzę sensu, żeby się nad tym rozwodzić. I tak już za dużo powiedziałem.

Co mogę powiedzieć jeszcze?

Pojechałem do Miasta (*Mantis religiosa*), żeby odreagować. Jeżeli to jest gra, w takim razie proszę o *time out*.

11. I to tyle, jeżeli chodzi o pamiętnik, którego nie napisałem, a który napisany, mógłby wyglądać mniej więcej tak. Mam nadzieję, że udało mi się utrzymać we właściwym tonie gatunkowi tonie przesady i lekkiego załgania wartego tyle, co wymagana przez konwencję sekwencyjność i quasi-faktyczność tego rodzaju notek.

Zresztą, zawsze, czytelniku, możesz powiedzieć, że, jak większość pamiętnikarzy, nałgałem ile wlezie. Cóż. Najlepiej będzie, jeżeli ani nie potwierdzę, ani nie zaprzeczę. Takie ujęcie przedmiotu wydaje mi się, zgodzisz się chyba, konsekwentne i jak najbardziej na miejscu. Nieważne zresztą, czy ten pamiętnik istniał. Fakty nie są ważne.

Nie potrafiłem powiedzieć, jak skończy się rozgrywka pomiędzy mną a Anną-Gabriellą, ale wiedziałem, że – bez względu na wynik – słono mnie będzie kosztować. Nie ulegało bowiem kwestii, że nie jest to gra rozgrywająca się na tym samym poziomie, co wszystkie moje dotychczasowe gry i gierki. Pożądałem mojej Księżycowej Pani, pożądałem jej tak, jak nałogowiec pożąda narkotyku: bezwzględnie, bezgranicznie i natychmiastowo. Problem jednak polegał na tym, że musiałem za wszelką cenę – przynajmniej w stopniu najogólniejszym – określić obiekt mojego pożądania... I już nie chodziło o zwycięstwo w tej grze, ale dotarcie do jej końca.

*

Przeczytałem powyższe. Cóż za pretensjonalny bełkot. Najwyraźniej w sytuacjach kryzysowych próbuję swą ontologiczną i intelektualną miślność pokryć mętnym, granicznym z patologią stylem. Bardzo to smutne, jako że świadczy o moim ostatecznym upadku.

Silę się na te niejasne dywagacje, a przecież mógłbym powiedzieć to znacznie prościej:

Cierpię. Cierpię przesiąknięty Anną-Gabriellą. Świadomość jej obcości przenika każdą moją komórkę, pali jak kwas, rani. Bijące od niej bezlitosne światło poraża mnie i oślepia. Płonę banalnym, niemrawym, lecz zabójczym bladym płomieniem.

Pod wpływem tych promieni wysycha grząskie bajoro mojego ciała, w którym jak świnia tapla się moja nieśmiertelna dusza.

Michał Nawrocki

MICHAŁ
NAWROCKI
ur. 1974; prozaik,
krytyk literacki,
historyk literatury.
Pisze doktorat
o poezji
Grochowiaka.
Na życie zarabia
jako publicysta,
tłumacz
i nauczyciel
akademicki.
Publikowany
fragment
pochodzi
z powieści pt.
Kości aniołów,
która wkrótce
ukaze się
nakładem
Wydawnictwa
Krakowskiego.

Nie powiem, żeby sprawiało mi to przyjemność, ale trzeba coś robić, by jeść coś. Poszedłem na kursy, gdzie obiecywano dużo pieniędzy, o wiele więcej niż potrzebowałem. Przylizany szczeniak w garniturze przekonywał nas, że wszystkim można sprzedać wszystko, jeśli tylko się odpowiednio do tego podejdzie.

– Ludzie kupią nawet gówno, jeśli tylko ładnie jest zapakowane. Do was należy zgrabnie im ten pakunek sprzedać.

Oczywiście mówił, że programy telewizji kablowej, które będziemy mieć zaszczyt sprzedawać, nie są żadnym gównem. To naprawdę dobra oferta.

– Każdy chce mieć w domu więcej niż pięćdziesiąt programów i wy im to dajecie. Proponujecie im rozrywkę dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– A kiedy będą spać? – ktoś rzucił z sali.

– Metr dwadzieścia pod ziemią – wyszczerzył zęby w wyuczonym uśmiechu. Zapanował śmiech. Śmiech z tych śmiechów, co to dają poczucie wspólnoty, pewnego wtajemniczenia. My wiemy o was to, czego wy nie wiecie o nas.

Przylizany szczeniak brylował przy tablicy, rozpisując strategię podejścia do klienta. Bezsensowne pytania niektórych, tylko przedłużały spotkanie. A jeśli tak, to jak? A jak zaskoczy mnie z tej, to oddać z której? Jakbyśmy przygotowali się na wojnę. Chciało mi się spać, ale wynikało to z przemęczenia, które zawsze utrudniało mi zaśnięcie. Zresztą obecność tylu palantów, przekonanych o swojej wyższości, nakazywała mi być czujnym. Ponadto moja wrodzona nerwowość nie pozwalała mi opanować drżenia powieki.

W domu ucałowałem żonę, pogłaskałem po główkach dzieciaki i wypilem jednym duszkiem półlitrowy kubek z silnym naparem melisy. To zioło zawsze na mnie działało łagodząco. Moje ruchy nabierały płynności i popadałem w błogie rozleniwienie. Kiedyś żona proponowała mi inne środki uspokajające, w jakichś tabletkach. Poręczniejsze to i silniejsze, przekonywała mnie. Nie zgadzałem się jednak na żadne prochy od czasów studenckich, kiedy to dla eksperymentu (a eksperymentowałem wtedy ze wszystkim) zażyłem czterdzieści tabletek aviomarinu, popijając dwoma piwami. Boże, co się wtedy ze mną działo! Myślałem, że koniec. Chciałem to przespać, ale wewnętrzności zaczęły zamieniać się we mnie miejscami i skoro wewnętrzności nie potrafiły znaleźć sobie miejsca, to tym bardziej ja nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca. Łaziłem, a właściwie człapałem jak częściowo sparaliżowany starzec od ściany do ściany, przez osiem godzin, albo i dłużej, pojękując z cicha, że to już chyba wszystko, i że zobaczyłem tak niewiele, no i szkoda, że tak głupio kończę. Mdlilo mnie jak diabli, tylko że nie miałem nawet siły się wyrzygać. Jakoś jednak przeżyłem, ale odąd nie łyknąłem nawet witaminy C, tylko ziółka, a właściwie tylko melisę.

Przed wyjściem na spotkanie organizacyjne też wypilem napar z melisy. Zawsze to łagodziło ostre krawędzie mojego usposobienia. Tylko w ten sposób

raz po nich drugie, jakieś przekleństwo, zdziwienie, że ciemno. Spotęgowane pustką odgłosy roznosiły się po klatce schodowej i zniekształcone docierały do mnie. Wydawało mi się, że otwierano drzwi od cel. Czułem się jak w więzieniu. Oni też mogli czuć się jak w więzieniu. Gdy wszystko umilkło, włączyłem światło. Wyciągnąłem zapalnik i wcisnąłem w szparę między przyciskiem a obudową. Nie ma nic gorszego, gdy zaczynasz rozmawiać z klientem i gaśnie ci światło. Pęka wtedy tak misternie konstruowany plan, no i nic nie widać. Moment ponownego włączenia światła, zazwyczaj zbiega się z zamknięciem drzwi przez klienta. Teraz światło nie zgaśnie, he he! Zapalniczka robi swoje.

Jeszcze szybko wytarłem chusteczką higieniczną buty z błota (wiadomo, ktoś może zaprosić mnie do mieszkania, oby, oby) i jazda do windy. Tylko, że winda zepsuta. Boże, osiem piętér w górę! No to leżę. Ale trzeba wchodzić. Na samą górę. Tam odpocząć, wytrzeć pot z czoła i karku, odsapnąć, by powrócić do świeżości i pierwsze pukanie. Delikatnie, nie za mocno, nie jak do przestępcy, ale też i nie za lekko, by nie sprawiało wrażenia nadmiernej nieśmiałości. To mogłoby skłonić klienta do zbytnej śmiałości, a wtedy ciężko takiego namówić.

Wsluchuję się w te drzwi, czy ktoś się tam za nimi nie rusza. Rusza się! Odsuwam się od wizjera, tak abym był widziany od połowy w górę. Na szkoleniu uczono nas, by nie stać za blisko, bo wtedy morda wypełnia przestrzeń widzianą przez wizjer. Za daleko to też źle. Wtedy klient widzi jakąś drobną postać pod przeciwległymi drzwiami. Wszystko należy stosować z umiarem. Ani za bardzo w jedną, ani w drugą stronę. Tak pośrodku, aby w razie czego swobodnie do klienta. Należy być czujnym!

– Nie musicie od razu nadstawiać tyłka, ale dostosować swój uśmiech do uśmiechu jelenia – doradzał lider o szczęce boksera. – Brak uśmiechu jelenia, należy wywołać go swoim uśmiechem. Ale też nie można za bardzo się uśmiechać, by nie zgasić tego nikłego płomyczka, nawet jeśli złośliwego, który na wasz widok zaigrał w kącikach ust jelenia.

– Bądźcie sobą, czyli lustrzanym odbiciem jelenia. Jeleń ma na was spojrzeć i zobaczyć w was swojego brata bliźniaka, nawet jeśli ty jesteś biały, a on czarny, ty gruby, a on szczupły. Pamiętajcie, jeleni nie wie, kim tak naprawdę jesteście – zazwyczaj dodawał.

– A jeśli jeleni jest kobietą, a ja mężczyzną? – zapytał ktoś całkiem poważnie.

– Wtedy jeleni ma odczuć, że właśnie zarabiasz pieniądze na operację zmiany płci.

Na każde pytanie mają odpowiedź. Zawsze przygotowani. Tylko jak opanować drżenie powieki?

– Palnij się w łeb chłopie! Tylko w odpowiednie miejsce i z siłą – z tego zdenerwowania odpowiedziałem sam sobie.

– Jestem z telewizji kablowej, proponuję nowe programy – mówiłem do drzwi coraz głośniej.

– Ja tam nic nie słyszę.

– Jestem z telewizji kablowej!

– Co? Wiesiu?!

– Nie! Chodzi o to, że sprzedaję ofertę telewizji kablowej! – już chyba wrzeszczałem.

– Ja tam nie poznaję – usłyszałem stłumiony przez drzwi głos. – To chyba nie Wiesiu.

– Tak. Nie! Nie, Wiesiu... ale przyjaciel. Chcę pomóc – byłem zrozpaczony. Musiano mnie słyszeć na całym piętrze.

– Ja nie otwieram nikomu, tylko Wiesiu może wejść. Idźcie sobie stąd.

Za plecami usłyszałem zgrzyt zamka.

– Co się pan tak wydziera? – barczysty facet z siwymi włosami stanął w drzwiach swojego mieszkania. Spod jego pachy wyglądała trefiona blondynka z twarzą wymalowaną w barwy ochronne. Pewnie żona. Udawałem wielce zaskoczonego, że słowa faceta odnoszą się do mnie.

– Tam nie ma czego szukać. To stary człowiek, on nic nie ma – powiedział barczysty.

– Ale ja nic od niego nie chcę – już mu podawałem program. – Ja obdarowuję...

– Co to? – nawet nie spojrział. – Łazicie do nas jak smrody po gaciach! – chyba się zdenerwował.

– No, co za barachło?! – odchylił się do żony. – Znowu próbują nam coś wcisnąć.

– Ależ... – jeszcze próbowałem.

– Panie – spojrział na mnie z pogardą. – Nie ze mną takie numery. Do normalnej roboty byś się pan wziął.

– Miły to pan nie jest – mruknąłem pod nosem, kierując się do zejścia piętro niżej. Gulgotało mi w gardle ze zdenerwowania.

– Co?! – wrzasnął. – I jeszcze się stawia! A może w mordę by tak, co?! Odechciałoby się ludzi nachodzić... No widziałś go, Ziuta...

Przebiegłem szóste piętro. Głos barczystego dolatywał do mnie z góry.

– No, co za bezczelny gnojek! Zabiłbym, gdyby nie kara – i usłyszałem jak zatrzasnął drzwi.

Stanąłem na piątym piętrze. Trochę odpocząć. Boże, jakie te ściany są żółte, nieprzyjemne. Bo niby żółte, jasne, a przecież ponure, mroczne. Ciemniało mi w oczach. Gdzieś tam w żołądku poczułem krótkie ukłucie. Zbierało mi się na torsję, ale skończyło się tylko na odruchu wymiotnym. Żołądek kilka razy skurczył się. Otworzyłem usta też kilka razy. Z boku mogło wyglądać, że pró-

– Acha... – udawałem zakłopotanego. – Widocznie komputery w naszej firmie nie zdążyły zaznaczyć... – wilem się jak piskorz. – To ja w takim razie zaznaczę...

– To niech pan zaznaczy – powiedziała znowu się uśmiechając. Piękna kobieta.

– Taaak... To niech pani sobie weźmie ten program.

– Już przysłaliście nam.

– Acha... – trochę mnie zatkało. – No, widzi pani.

– Z kim rozmawiasz? – doleciał nas z mieszkania męski głos.

– A nie nic! Z nikim! Nic ważnego! – odkrzyknęła. Poczulem się jak nikt.

– To w takim razie nic tu po mnie – powiedziałem skruszony.

– Chyba tak – uroczo wzruszyła ramionami.

– Do widzenia.

– Do widzenia – zanim zamknęła drzwi, jeszcze dodała. – Trochę za często do nas przychodzicie. Niech pan powie w firmie.

– Dobrze, powiem – lekko się ukloniłem. – Do widzenia.

– Dobranoc.

Zostałem sam. To żółte światło było nieznośne. Gnoje, dali nam trefne adresy. Nie poddaję się jednak, choć nerwy kołują mi w żołądku.

– Dzień dobry panu, jestem z telewizji kablowej. Acha... rozumiem, czyli raczej nie... Aaa! Już pan ma. Dwa tygodnie temu? To zrozumiałe, nie zauważyłem, przecież wyraźnie mam tutaj napisane.

– Dobry wieczór, jestem z telewizji... Nic z tego?

– Dobry wieczór, jestem z telewizji kablowej – szczęka bolała mnie już od ciągłego uśmiechania się. Wyglądałem na weselszego, niż byłem w rzeczywistości. Facet uważnie przyglądał się programowi. Kolorowe obrazki migotały mu w oczach jak ławice drobnych rybek. Milczałem. W głowie odezwał się przylizany szczeniak:

– Gdy klient ogląda, nie należy mu w tym przeszkadzać i tak nic nie usłyszy z tego, co do niego mówicie. Wszyscy jesteśmy wzrokowcami, gdy na coś patrzymy, przez pierwsze kilkanaście sekund poza tym patrzaniem, nic do nas nie dociera.

Facet cały czas oglądał, a ja stosownie do wskazówek uparcie milczałem. Na zewnątrz byłem opanowany, nawet chyba nie drżała mi powieka, za to w głowie kwitło coraz większe szaleństwo: Czytaj pierdoło, zastanawiaj się, niech twój własny mózg zrobi sobie sieczkę z siebie samego. Może w końcu wyłuskasz z siebie jakąś decyzję. Pierwszą w życiu dobrą decyzję. W ogóle jakąś decyzję. Trzeba się uspokoić. Znaleźć sobie takie miejsce pomiędzy szczęściem a nieszczęściem. Tak, że niby nie zależy na niczym. Ot, stoję sobie i czekam na pytanie. Po prostu stoję i czekam.

Tylko, że po tej robocie nie miałem nic. Na dojazdy traciłem dziesięć złotych, dziennie kopałem osiem metrów, a jeszcze trzeba było zjeść jakieś kanapki, no i pracowałem tylko trzy dni, bo trzeciego coś strzeliło mi w krzyżu i z nosa ciekło jak z Niagary, a w dodatku ból głowy. Gdy się wykurowałem pojechałem zabrać swoje rzeczy, okazało się, że ukradli mi naprawdę dobrą torbę, no i pieniędzy jeszcze nie było, ale może jutro będą, albo pojutrze, najlepiej zapytać się jednak za cztery dni, tylko, że to będzie w piątek, to najlepiej, na początku przyszłego tygodnia, we wtorek albo środę. Byłem tak wkurzony, że zawyrokowałem, by moją marną wypłatę wsadzili sobie gdzieś, albo nie, żeby rozdali między tych dwóch. Tu wskazałem na Zenka i Romana, z którymi przez te trzy dni rozmawialiśmy o wpływie pornoli na wydajność mężczyzn. Byli to jedyni ludzie, z którymi przez te trzy dni rozmawiałem.

Od pierdoły wyszedłem bardzo zmęczony. Schodząc powłóczyłem nogami. Właściwie było mi już wszystko jedno. Bolała mnie klatka piersiowa, coś tam w środku jakby kłuło. Brakowało mi melisy, dzieci, żony. W tym mieście znalazłem się przypadkowo, nienawidzę tego miasta, ale nie mogę wracać do miejsca, gdzie się urodziłem. Tam się tylko umiera.

– Nie poddawajcie się – znowu ten pieprzony szczeniak. – Nie możecie zapomnieć o tym, że doskonała skuteczność w waszej pracy wynosi 30%. Jesteście w stanie obejść w jeden wieczór około dwudziestu mieszkań. Czyli uda wam się namówić średnio co siódmego klienta. Może się jednak zdarzyć, że nie namówicie kolejnych dwudziestu. Nie traćcie jednak nadziei...

Schodziłem coraz niżej, w dół, nawet nie zwracając uwagi na nazwiska na drzwiach. Wreszcie ostatnie piętro, patrząc z mojego punktu widzenia. Z innego punktu widzenia, mogłoby to być pierwsze piętro. A niech tam, dla przyzwoitości i czystego sumienia zadzwonię pod jedynekę. Ostatnia próba. Grzymałowicie. Za drzwiami było głośno, muzyka, jakieś krzyki. Jeszcze raz nacisnąłem przycisk dzwonnka. Trochę dłużej. Drzwi gwałtownie się otworzyły. Pijana kobieta wcale nie była zaskoczona moim widokiem. Wciągnęła mnie do środka. Znalazłem się w ciasnym od ludzi przedpokoju. Ktoś podał mi szklanekę napełnioną do połowy wódką. Za zdrowie Andrzeja! – brzmiał toast. Rzeczywiście, dzisiaj andrzejki. Przekładkowo miałem na imię Andrzej. Bardzo szybko się upiłem. Przed oczami obce twarze zlewały mi się w nabrzmiałą pijaństwem mordę. Byłem śliski od potu. Gdzieś zgubiłem teczkę z papierami. Źle czułem się w swojej kurtce i zrzuciłem ją z siebie. Był to ostatni raz, gdy ją widziałem. Podarła mi się koszula. Poznałem wielu nowych przyjaciół, z których po chwili nie pamiętałem żadnego. Nad ranem z orzygany krawatem, bardzo zmarznięty, stanąłem przed żoną. Nic nie powiedziała. Troskliwie rozebrała mnie i położyła do łóżka. Jak mama.

Daniel Odija

DANIEL ODIJA
ur. 1974 r. ;
prozaik; ostatnio
opublikował
powieść *Ulica*
(2001); mieszka
w Gdańsku.

Pod koniec stycznia 1972 roku pojawiła się w lokalnej prasie miasta O. bar dzo zastanawiająca notka kryminalna, która (piszę o tym nie bez dumy!) przedarła się nawet do jednego z dzienników ogólnopolskich, wprawiając w osłupienie tamtejszych redaktorów działu aktualności. W nocce informowano o śmierci człowieka, którego personaliów nigdy nie ustalono. Śmierć ta – niewyjaśniona i zagadkowa – spowodowana była skokiem denata z dachu bloku lub z któregoś z jego pięter. Tajemnicy dopełniał fakt, iż denat w chwili śmierci trzymał w rękach krzesło, i z tym właśnie krzesłem został znaleziony nad ranem przez obywatelkę Kupryłło Bożenę, nauczycielkę wychowania obywatelskiego, która akurat wyprowadzała psa na spacer. Denat trzymał w zeszytywniałych palcach krzesło tak mocno, że ekipa dochodzeniowa i lekarze mieli wielkie trudności z oddzieleniem tegoż denata od rzeczonoego krzesła. Okoliczności zgonu nigdy nie wyjaśniono, a sprawa została wkrótce umorzona.

Minęło prawie trzydzieści lat, zimy stały się łagodniejsze, wypadki mniej zagadkowe, za to może bardziej powszechnie... Ale po kolei!

* * *

To było młode małżeństwo, świeżutkie, no – po prostu pączuszek szczęścia, ledwo rok minął od... Nie, nie tak, inaczej...

Ta wiecznie zgarbiona hipisówka Joplin, z papierosem w ręku i zaczadziałym jak jasna cholera głosem, śpiewała po raz kolejny tego wieczoru, żeby dać jej pretekst do kochania. Świece dogasały powoli jedna po drugiej, żeby zaraz dać pretekst postępom ciemności. Na choince bombki połyskiwały kolorowymi ślepiami, dając pretekst do mnożenia światów i wykrzywiania odbić. Dziewczyna krążyła niespokojnie po mieszkaniu, a on dawał jej pretekst do rozpacz – nie wracał od trzech godzin, choć wrócić miał za pięć minut. Na dokładkę, za folklorystycznym wzorem kwiatów w oknie, zima czaiła się ze swoimi pretekstami, kontekstami i podtekstami...

Dziewczyna była brzydka, a jeszcze większy pretekst jej brzydocie dawała brodawka wybijająca bezlitośnie na czole. Jednak dziewczyna nie zawracała sobie teraz głowy brodawką. Gryząc paznokcie, podchodziła co chwila do okna i wypatrywała chciwie jego postaci, albo nasłuchiwała w napięciu pod drzwiami.

A mogli przecież przyciszyć magnetofon, zostawić jedną zapaloną świecę i pójść do łóżka. I kochać się, tulić aż do świtu, i zasnąć w objęciach świtu. Ale nie! Zawsze był uparty, więc i tym razem się uparł. Że jeszcze wcześniej, że pierwsza rocznica zdarza się tylko raz w życiu, że jutro nie muszą iść do pracy. Na nic się zdały protesty i kategoryczne zakłęcia, że późno, niebezpiecznie, że już dosyć – zarzucił płaszcz na plecy i pobiegł po jeszcze jedną butelkę wina do znajomego, który podobno zawsze ma i który podobno zawsze da. Teraz dochodziła trzecia. Dziewczyna zdążyła pozmywać naczynia, posprzątać, przypu-

Już miała wykręcić numer milicji, gdy złodziej chwycił ją mocno, obrócił ku sobie i zaczął patrzeć nachalnie w oczy. Słuchawka upadła na podłogę wydając pikający, urywany dech. Dziewczyna zdrętwiała – oniemiały słup soli na galaretowatych nogach. Facet gapił się tak wnikliwie, tak natarczywie i tak jakoś dziwnie, że przeszedł ją chłód. Było w jego spojrzeniu coś niszczącego, coś, co działało jak śmiercionośny rentgen, jakaś łatwość destrukcji.

– Bądź cicho, dobrze? – syknął, świdrując szarymi, płytkimi oczami.

Intensywniał smród potu zmieszanego z piwem. I te zęby wyszczerzone, pożółkłe i czerniejące, i takie wyzywające. Był obrzydliwy. Trzymając ją jedną ręką wpół, drugą zdjął czapkę i patrzył nadal, a raczej wsysał w siebie tak żarłocznie, że cała znalazła się w nim, w jego oczach i tym uśmiechu. Poczuli się niczym otwarta szafa, a on z lekkością, niedbale przerzucał wszystkie zakamarki jej myśli, uczuć, ostentacyjnie ogarniał wzrokiem całe jej życie. Tak to czuła. Była tego pewna. W oczach złodzieja, w spłowiałym, zszarzałym spojrzeniu paliła się mroczna, zła siła – rozrastająca się jak skrzydła ogromnego nietoperza. Im dłużej na nią patrzył, tym bardziej stawała się zimna, wychłodzona od wewnątrz. Mięśnie zaczęły wiotczeć i drętwieć, wolniej oddychała, puls stawał się słabszy, ledwie wyczuwalny, a serce przystawało. Chyba umierała i, co więcej, z każdą chwilą ulegała posłusznemu umieraniu. Jej ciało starzało się w błyskawicznym tempie – piersi zaczęły wypychać stanik i flakowato wylazić z miseczek, palce poprzecinały strużki zmarszczek, rdzawe, brązowe pieprzyki wybiły na skórze, brzuch się powiększył i opadł na łono, a lewa powieka zaczęła drgać.

– No, wszystko jasne, nie? Git? Chyba nie chcesz kopnąć w kalendarz – wypuścił ją z objęć. – No, to co macie dla mnie dobrego? Pieniądze, oszczędności, jakieś pierścionki, kosztowności, pamiątki. Biorę wszystko – zawyrokował i ostentacyjnie przejechał paluchem po półce. – Koleś! Do roboty! – warknął na chłopaka.

Dziewczyźnie świat zawirował przed oczami. Strasznie wyczerpana, bliska omdleniu, oddychała ciężko, z trudem chwytając powietrze, jakby dopadł ją skurcz płuc. Chłopak wstał posłuszenie, no i wziął się do roboty. Złodziej za nim, jak cień, przystawał to tu, to tam i chował wszystko do kieszeni spodni. Więc poszło dość szybko: portfel i portmonetka, potem kilkaset złotych odłożonych na czarną godzinę, schowanych w *Grze w klasy*, zegarek ojca, złoty łańcuszek babki, nawet przedpłaty na Fiata. Chłopak oddawał wszystko skwapliwie, a złodziej skwapliwie i skrupulatnie oceniał wartość i chował w przepastnych, jak widać, kieszeniach spodni. Czasami kiwał ze zrozumieniem głową, czasami kręcił z niedowierzaniem. Wreszcie skończyli. Chłopak wrócił posłuszenie jak psiak na tapczan, a złodziej rozwalił się w fotelu.

– No i po wszystkim. A ty idź zrób nam herbaty – zwrócił się do dziewczyny.

– Dobra! A teraz kimanko.

Zgarnął swą wielką łapą z tapczanu poduszkę i koc, po czym czknąwszy z zadowoleniem położył się przy szafie, plecami do nich i momentalnie zachrapał.

I... i po wszystkim chciałyby się rzec. Lecz oni długo jeszcze siedzieli, nie odzywając się do siebie, patrzyli na choinkę, na świecę, na raptem wykluty z nocy poranek i blade słońce, które rozpuszczało mlecznoszkliste kwiaty mrozu na szybie. Dzień był mroźny i jasny. Nie mogli spojrzeć sobie w oczy. Otępiali, z przerażeniem na dnie myśli o swojej starości, o utraconej młodości i o złodzieju, który zaczął już chrapać w najlepsze. A wszystko nieoczekiwane, niewytłumaczalne, niespodziewane – w trakcie jednej zimowej nocy, w rocznicę ich ślubu. Ale dziewczyna nie miała zamiaru się poddać.

– Trzeba coś zrobić – stwierdziła zdecydowanie.

– Cicho! Jeszcze się obudzi. Cicho! – wyszeptał prosząco chłopak, zerkając z przestrachem na śpiącego złodzieja.

– Musimy się go pozbyć. Przecież musi być jakieś wyjście.

– Jesteśmy starzy, rozumiesz? Starzy! Wczoraj miałem dwadzieścia lat. A ty? Zobacz, co z tobą. Twoje ciało mnie brzydzi. On może nas uśmiercić, rozumiesz? To, jakiś Bazyliszek pieprzony. Nawet jeśli udałoby się wyrzucić go z domu, co zrobisz, gdy spotkasz go na ulicy, w autobusie, nie jutro, to za rok, dwa? Czujesz przecież to samo. Śmierć w nim siedzi, a ty zdechniesz, rozumiesz, zdechniesz! – wyrzucił z nienawiścią.

– Musi być jakieś wyjście – powtórzyła z uporem.

– Nie chcę umierać. I tak zostało nam mało czasu, o wiele mniej niż myśleliśmy.

Chłopak stęknął i zwinął się w kłębek jak małe dziecko, przyciskając do twarzy poduszkę. Dziewczyna na palcach, po cichu poszła do łazienki. Spojrzała w lustro i zaraz łzy nabiegły jej do oczu – była starą, pomarszczoną kobieciną. Obwisłe policzki gubiły proporcję rysów, biała plama przy lewej skroni jak odmrożony liszaj, worki pod oczami, posiwiałe włosy, przerzedzone brwi i zmarszczki, zmarszczki na całej twarzy. Tylko brodawka jakby się zaczerwieniła i powiększyła na czole.

* * *

Obudzili się późnym popołudniem. Niedziela dogasała czerwonym zmierzchem. Złodzieja nie było. Poduszka i koc leżały równiutko złożone przy ścianie. Już mieli krzyknąć z radości, gdy spojrzeli na swoje twarze i było jasne, że wrzeszczeć można i wyć, ale z rozpacz. A brak wazy po dziadkach potwierdzał, że realność nie tak łatwo przepędzić w bezkres urojeń.

Cały wieczór nie odzywali się do siebie. Każde z nich osobno nosiło w sobie gorycz przemiany, zmagало się z sytuacją wyrosłą w poprzek ich życia, zatapia-



Fotografia Agnieszka Kamińska

minała prostych zwrotów, sięgała z przerażeniem do słowników. Co rusz spoglądała zamyślona w okno, badała swoje palce, dotykała ciała (obwisłe piersi smuciły najbardziej) i raz po raz rzucała nienawistne błyski w kierunku złodziejskiego posłania.

Około dziewiątej złodziej obudził się, rozprostował kości i wchodząc do łazienki krzyknął wesoło:

– No, matka! Śniadanie!

Co było robić? Dziewczyna posłusznie przygotowała posiłek. Chleb, masło, ser i herbata z cukrem. A tamten w łazience prychał, śpiewał wojskowe piosenki i sążnięcie kłął pod strumieniami wody. W końcu odświeżony, w szlafroku chłopaka, wrócił do pokoju i zabrał się do jedzenia.

– Co, matka, tak milczysz? – zagadnął, przełykając kęsy kanapki. – Mów, jak teraz poukładasz sobie życie. Bo, że musisz je sobie ułożyć na nowo, to pewne! Dziewczyna demonstracyjnie cmoknęła wargami.

– Jestem stary, ty jesteś stara i nic na to nie poradzisz. A ja jutro muszę wcześniej wstać. Kierownik spożywczego obiecał kartony po margarynie... – chłopak już zasypiał.

I znowu jak przez mgłę ciszy usłyszał słowa:

– Musimy go zabić. Musimy, a jeśli nie razem, to ja sama go zabiję.

* * *

Nie ma sensu opisywać całej absurdalności domu, który znienacka przemienił się w dom starców. Chłopak łąził po śmietnikach, zachodził na zaplecza sklepów, prosił o pudełka, stare gazety, zbierał butelki i zanosił to wszystko do skupu. Wieczorem przynosił pieniądze i kwity. Jeśli złodzieja nie było akurat, kładł wszystko, co do grosika na jego poduszce, jeśli był – składał szczegółowe zeznania z zarobionych pieniędzy. Złodziej odliczał część na utrzymanie domu, resztę zabierał dla siebie. To samo z pensją dziewczyny. Trzeba powiedzieć, że okradał sumiennie, ale i sprawiedliwie. Nie zdierał z nich skóry, nie przymierali z głodu, czasami sam nawet chodził po zakupy z listą sprawunków zapisanych przez dziewczynę na kartce. Złodziej – przy całym koszmarze życia małżeństwa – był dla nich uprzejmy. Rzadko wtrącał się w ich sprawy. Co więcej, pamiętał o rodzinnych uroczystościach. Na imieniny dziewczyny przyniósł przepiękny bukiet róż, chłopakowi ofiarował kapcie na dwudzieste albo siedemdziesiąte (jak kto woli) urodziny.

Nie było jednak tak całkiem sielankowo. Oj, nie! Wprawdzie chłopak pogodził się z sytuacją ostatecznie, ale dziewczyna z pozoru uległa i posłuszna, czasami próbowała protestować, przeciwstawić się złodziejowi. A ten spoglądał wtedy na nią przenikliwie swoimi płytkim, szarymi oczami i przybywało jej lat. Nie ma co, był sztukmistrzem starzenia. I wszystko powracało do normy. Chłopak nawet zgryźliwie komentował, że przez jej bunty staje się od niej młodszy, a ona to już próchno. Dziewczyna nie przejmowała się tym i zawsze zasypiała z postanowieniem, które chłopak słyszał przez ową mgłę ciszy:

– Zabiję go! Naprawdę zabiję go!

Często, a jakże! budziła się w środku nocy i po cichutku skradała do złodzieja. Drżący cień ręki skradał się po ścianie, gdy unosiła kuchenny nóż, cisza dzwoniła donośnie i ściekała po ostrzu, krew uderzała do głowy i... i już miała dźgnąć, gdy nagle coś odpychało ją do tyłu. A skradała się do złodzieja z nożami, durszlakami, patelnią, toporkiem do mięsa, skradała się z gołymi, rozcapierzonymi rękami, ale zawsze w ostatecznym momencie tchórzyła. Daremny trud... Czas pracował na niekorzyść dziewczyny, bo z każdym tygodniem niedołączyła, ręce drżały coraz silniej, ciało opadało z sił, powieka zupełnie przesłoniła pół świata. Tak więc mijały dni, tygodnie, miesiące. Chłopak zbierał butelki i makulaturę, złodziej okradał ich systematycznie z pieniędzy i życia,

– Wstawaj stary, ale dziwy. Znowu marudzi i bełkocze coś o tej Apokalipsie. Ale to nie wszystko. Chodź, zobaczysz, no wstawaj! – zniecierpliwiona wbiła palce w jego ramię.

Poszli do kuchni. Złodziej cały zalany łzami, patrzył na kuchenkę gazową i mamrotał do niej jakąś skargę, że to nie jego wina, że starał się, że ludziom błony na oczach rosną, że włazi w ich życie jak w wybujałą chwastami ciemność.

– No i co, normalnie, jak zwykle – obruszył się chłopak.

– Czekaj, to nie wszystko. Chciałam napić się wody i biore szklankę, a on zobacz!

Wzięła szklankę ze stołu i momentalnie złodziej ruszył w jej kierunku. Dziewczyna szybkim ruchem wysunęła ją w bok – złodziej też w bok. Podeszła ze szklanką do okna – złodziej też do okna. Szerokim, płynnym ruchem postawiła z powrotem na stole – złodziej szerokim i płynnym ruchem podszedł do stołu. Podreptała do pokoju – złodziej za nią. Szklanka w dół – złodziej kucnął. Szklanka do góry – złodziej podskoczył i stanął na palcach. Chłopak oniemiał ze zdumienia. Przypominało to balet, pantomimę w ciszy, jakiś taniec dziwaczny, albo zabawę w lustro.

– Nasz złodziej ma przeszłość. A to już coś. Skoro ma przeszłość, to może da się coś cofnąć. My też możemy go okraść! – zachichotała ponuro.

I położyli się spać, choć ona długo jeszcze przewracała się z boku na bok i intensywnie analizowała całe zdarzenie. W jej głowie zrodził się kolejny, morderczy plan. Pocierając do krwi brodawkę, zarechotała ponuro w ciemnościach jak wiedźma, która dobiła targu z głupim diabłem.

Następnego dnia ukradkiem obserwowali złodzieja. Pytali, czy nie chce herbaty, że mogą zrobić, on owszem pił jedną za drugą, lecz nie zwracał uwagi na szklankę. Jakby złodziej w nocy to jedno, a złodziej w dzień to drugie. Zjedli obiad i czekali zmierzchu. Bali się, żeby przypadkiem nie wyszedł gdzieś na noc. Ale nie, obwieścił, że nigdzie się nie wybiera, ale za to – żeby go obudzić z samego rana, bo ma robotę. Nie mogli doczekać nocy. Czym prędzej posłali tapczan, położyli się cichutko i czekali. Powolne chorągiewki minuty defilowały w nieskończoność po ścianie, sztandary godzin przepływały leniwie niczym pierwszomajowy pochód na placu Czerwonym. Po pierwszej dziewczyna usłyszała chrapanie. Minęła druga. Dochodziła trzecia. Trzecia wybiła na ratuszowym zegarze, którego dźwięk zawsze dochodził do ich domu, gdy za oknem zapadała cisza śpiącego miasta. Wtem, złodziej poruszył się gwałtownie, coś zaszurało. „Wstał. W kuchni jest” – pomyślała z przejęciem. Odczekała jeszcze chwilę i najciszej jak umiała podążyła za złodziejem.

Tym razem siedział w kucki przed krzesłem i bujał się na boki, śpiewając jakąś pieśń czarcią – przemieszanie afrykańskiego lamentu z socrealistycznym zaśpiewem. Dziewczyna poruszyła krzesłem – poruszył się i złodziej. I śpiewał

szyl się najzwyczajniej, a gdy opowiedziała mu wszystko po kolei, po prostu wpadł w popłoch.

– Teraz trzeba porąbać resztę krzeseł i spalić. Najlepiej w łazience, w wannie, wannę umyć i zatrzeć wszelkie ślady – obwieściła z pełną logiką trzeźwością.

Ale chłopak wpadł w przerażenie. Bał się, że umrą. Że złodziej był ich jedynym życiem, że władał tym życiem i czasem, i ona uśmierciła ich ostatecznie. Dziewczyna nie przejmowała się tym biadoleniem. Sama wyniosła krzesła do łazienki, porąbała toporkiem do mięsa i spaliła jedno po drugim. Po dwóch godzinach było po sprawie. Dokładnie umyła wannę z popiołu, uczesała włosy i wróciła do łóżka. Świt kładł się bladym płaszczem na miasto.

– Kładź się, stary! I módl się, żeby wszystko się jutro odmieniło. Sen to dobry lek. Przez sen odwrócimy przeszłość – objęła go mocno. – jeszcze nic straconego. To był tylko głupi kawał czasu. Nic się nie bój – szeptała, wtulając się w jego włosy. – Zabiłam złodzieja...

* * *

Rankiem zbudziło ich pukanie. Dziewczyna zarzuciła szlafrok i pobiegła otworzyć. W drzwiach stał milicjant. Zlustrował uważnie jej kształty, a potem wyjąwszy z aktówki fotografię złodzieja zaczął wypytywać o ewentualną znajomość z osobnikami, o podejrzanе zachowania innych lokatorów, o pojawienie się w bloku obcych, o kroki na schodach, o klucze do suszarni, i czy mebli im nikt nie ukradł w ostatnim czasie. Dziewczyna, spoglądając wzrokiem zimnym i rybim, odpowiadała spokojnie, że człowieka pierwszy raz na oczy widzi, że lokatorzy zachowywali się i zachowują porządnie, choć temu z parteru nie zaszkodziłoby przyjrzeć się uważniej, że w bloku obcych nigdy nie widziała, że kroków na schodach nie słyszała, bo mąż chrapie okropnie, i że – chwalić Boga – meble wszystkie są. Milicjant zasalutował i odszedł.

W łazience długo się wahała, zanim podeszła do lustra. Pal licha! Spojrzała w zdziwione odbicie... Była na nowo młodą dziewczyną z jaśniejącym uśmiechem i brodawką na czole, jednak nie zawracała sobie teraz głowy brodawką. Uśmiechnęła się do siebie. Coś jej mówiło, że dożyje późnej starości. Nie budząc chłopaka, włączyła tę wiecznie zgarbioną hipisówkę Joplin, która zaczęła działać jak jasna cholera głosem prosiła, żeby dać jej pretekst do kochania...

* * *

Tak... Oto i cała, banalnie prosta zagadka mężczyzny z krzesłem. Nie wiem, czy lata siedemdziesiąte obfitowały w wiele takich zdarzeń i czy w ogóle o czas tutaj chodzi... Któż to dzisiaj rozstrzygnie?... Mogę tylko dodać, że po ośmiu miesiącach, w sierpniu upalnym i zwariowanym na punkcie wiśni, ja przyszedłem na świat. Byłem wcześniakiem.

Mariusz Sieniewicz

MARIUSZ
SIENIEWICZ
ur. 1972 r. ;
prozaik, krytyk
literacki;
opublikował
powieść
Prababka (1999);
red. naczelny
„Portretu”;
mieszka
w Olsztynie.

I

Narrator miał całkiem dobry dzień. Najlepszy na spacer. Chodził ulicami, kołysząc się ledwie dostrzegalnie z boku na bok. Jeszcze dokuczała mu zwichnięta niedawno noga. To dlatego, że Narrator rzadko kiedy patrzył pod nogi. Najczęściej patrzył ludziom w twarz, rozszyfrowując oczy. Irytujące, prawda?

Oto i sam Narrator umiejętnie wyłuskuje bohaterów, by obmyślać im życiorysy, szuka, szuka, albo (dość bezmyślnie) buja w obłokach. Tak, to wielce szkodliwe dla nóg.

– Witam, witam, co słyhać? – zapytałam Narratora (obcesowo), spotkawszy go na rogu Długiej i Szerokiej. Ledwie się obejrzał. I mnie ledwie obejrzał. Szybko zidentyfikował moją (skromną) osobę i od razu przestał w ogóle na mnie patrzeć. Ale przystanął uprzejmie i odpowiedział nieśpiesznie:

– A, chodzę, chodzę. Nogami do przodu. A, szukam, szukam.

– A czego szukasz? – Byłam ciekawa, chociaż nogami do przodu się nie chodziło i o to najchętniej zapytałabym Narratora.

– Wyobraź sobie – zawiesił głos. – szukam bajki.

Szybko sobie wyobraziłam, bo Narrator zawiesił głos na długo. Nie znalazłam jednak zastosowania do tego wyobrażenia, a głos chętnie przywiesiłabym przy drzwiach. Zamiast dzwonka. Przyjemniejszy. Ale bajka? Nie mam dzieci. Nie muszę używać bajek do kolorowania świata. Dobrze. Mam szary świat. Dobrze. Nie rozumiem.

– Myślisz, że ci się bajka przyda? – spytałam podejrzliwie. Narrator też nie ma dzieci.

– Tak myślę – odpowiedział i skinął mi głową na pożegnanie. Nie, nie – pomyślałam – nie tak szybko, jeszcze nic nie wiem, a dziś mam dobry dzień na dowiadywanie się.

Tymczasem Narrator odchodził szybkim krokiem.

– Myślisz, że ci się bajka należy? – spytałam pędząc za nim (co za prostackie zachowanie! Nie uchodzi damom. Trudno. To dla sprawy się tak demaskuję!).

– Tak myślę, czemu nie? – rzucił za siebie.

Przystanąłam, pomyślałam mocno i rozeszłam się sama w dwie różne strony. Jeden koniec ulicy – klombik i zegar, drugi – arkady, a pod nimi wyjście na duże skrzyżowanie, gdzie światła rozmawiają z ludźmi wyłącznie w trybie rozkazującym.

* * *

A Narrator z ulgą przyczaił się w najbliższej bramie pachnącej wilgocią i amoniakiem. Oddychał nerwowo.

Zuzanna to ja.

- Nie mogę cię zatrzymywać – powiedziałam do światła, ignorując cudze myśli. – Niczego nie mogę zatrzymywać.
- Nawet gdybym chciało być zatrzymane? – zapytało światło cichutko.
- Nawet.

II

Narrator rozsiadł się w skórzanym fotelu. Wyjął fajkę i powoli przygotowywał się do jej zapalenia. Ogólnie – pełna celebracja.

– Oto stąpanie Zuzanny – powiedział, a barman dyskretnie wytyczył słuch. – W pustym pokoju: Echo! – kontynuował tajemniczo. – Zuzanna siada w skórzanym fotelu – balansował głosem na granicy szeptu, co trochę drażniło barmana. – Zuzanna stuka w oparcie. Echo odpowiada adekwatnym stukaniem. Tu następuje wzajemna zabawa w odgłosy – dodał wyjaśniająco i zamilkł na dłuższą chwilę. – Zuzanna nalewa sobie lampkę koniaku, którego nie zdąży wypić, chociaż przyjrzy mu się z wyraźnym zadowoleniem.

Dzwonek telefonu. Zuzanna przechodzi przez korytarz. Podnosi słuchawkę.

* * *

Słyszę telefon, więc podnoszę słuchawkę.

– Tak?

– Cześć Karolino – to Męski Głos.

– Nie ma Karoliny.

– Tak się składa Karolino, że doskonale znam twój głos.

– Przepraszam, ale naprawdę nie jestem Karoliną.

– Nie wygłupiaj się, dobrze?

– Nie wiem, jak pana przekonać. Karolina zostawiła mi mieszkanie. Wyjechała na jakiś czas. No i tyle.

– Karolino!

– Nie ma Karoliny, naprawdę. Nie wiem, kim pan jest i nie chciałabym niczego komplikować, ale nie jestem Karoliną, no nie jestem i już.

– Hmm, może rzeczywiście, teraz... tak trochę po intonacji... może rzeczywiście nie jest pani Karoliną... Karolino! Nie wygłupiaj się!

– Proszę pana, ja nie jestem Karoliną! Niech mi pan uwierzy, bo rozmowa staje się męcząca.

– Przepraszam panią. Karolina ma czasem takie głupie pomysły. Teraz słyszę, że rzeczywiście nie jest pani Karoliną. Przepraszam jeszcze raz.

– Ufff, nie szkodzi. Tak, tak, znam pomysły Karoliny. Mogę jej zostawić wiadomość.

- Przecież jestem Echo, nie? – zaperzyło się.
- Nie, nie, nie? – przedrzeźniłam Echo, zła że odkryłam przed kimś nieznanym najgłębsze pokłady intymnych niepokojów. – I co, miło?
- Miło? – zmałpowowało Echo.
- Ech, Echo... – pomyślałam z wyrzutem. Mogliśmy się tak bawić, pewnie, tylko po co?
- No? – udobruchało się troszeczkę.
- Zadzwoni? – szepnęłam.
- Chciałabyś, prawda? – również zaszeptało Echo.
- Prawda? – powtórzyłam bezwiednie.
- Ej – Echo delikatnie podniosło poziom dźwięku. – Nie jestem zaraźliwe. Nie powtarzaj.
- Jesteś trochę zaraźliwe – pomyślałam, a Echo zamyśliło się i kichnęło.
- To z nudów – zadecydowało.
- Z czego? – zdziwiłam się, bo nie słyszałam jeszcze nigdy, żeby Echo się nudziło.
- A myślisz że co, że się nie nudzę? – zirytowało się niespodziewanie.
- Łazisz sama po tym mieszkaniu. Ani kawałka remontu, ani robotników, ani nawet zwykłych gości, można zasnąć na wieki. Czasem jakiś telefon. I to jeszcze nie do ciebie.
- Dzięki – pomyślałam smutno. – Miłe Echo z ciebie. O, super. Ja wysiadam. Ciekawa jestem tylko, czemu akurat masz sentyment do robotników?
- Bo mam. Przez stuki może. Mam. Zostań – poprosiło Echo jakoś tak bez przekonania. – Bez ciebie ta nuda mnie udusi. Bywa napastliwa.
- Kupię ci telewizor! – warknęłam. I wyszłam z pokoju.
- Tylko mnie nie obrażaj, dobrze? – krzyknęło za mną Echo, ale było już za późno. Siadłam w kuchni na stołeczku, posiedziałam w milczeniu dobrą (i złą) chwilę, a potem wróciłam. Tylko po to żeby zapytać:
- Jak bardzo się nudzisz?
- Odkąd tu mieszkasz, bardzo – Echo było nad wyraz szczere.
- Dzięki – skuliłam się w fotelu. – Nie mogę się wyprowadzić tylko z twojego powodu!
- Nie, oczywiście – zaprotestowało znowu raczej bez przekonania. – To przez ten brak wizyt. Poprzednio drzwi tu się nie zamykały. Wpadali ludzie, siadali, palili trawkę, co się działo pod ich czaszkami, tego się nie da opowiedzieć. Myśleli takie rzeczy, że nie można było odetchnąć spokojnie, nie mówiąc już o nudzeniu się. Gęsty był świat. Przez nadmiar myśli. Był sezon na motyle. Teraz nie mogę się przyzwyczaić do twojego spokoju.
- Spróbuj – zachęciłam ostrożnie. Nie miałam wcale ochoty na nie zamykające się drzwi. – Ja się ze sobą nie nudzę. I nie biorę, żeby mieć luz albo

- Więc ja...? – zasugerowało.
- A ciebie sobie wyrwę! – uśmiełam się serdecznie ze swojego pomysłu, na co Echo nadąsało się od razu . Może nie jest tak inteligentne, jak się wydaje?
- Myślisz, że się nadam? – zainteresowało się jednak.
- Trzeba sprawdzić – brnęłam dalej.
- Brrr – zatrzęsło się. – Wyrwać mnie z korzeniami! Może ze mną też się będziesz nudzić.
- Nie – byłam nieustępliwa. – Ty nie jesteś w końcu normalne Echo. Ty jesteś Echo, które czyta w myślach.
- A, faktycznie – nadęło się delikatnie. – I to cię tak bawi?
- A bawi – powiedziałam krótko. Nie byłam jednak tego taka pewna. Może wcale mnie nie bawiło, tylko raczej niepokoiło. Ale co tam.
- Chwilowo cię bawi – Echo było podejrzliwe



Fotografie Agnieszka Kamińska

- Nie, nie wiem – wzruszyłam ramionami. – Odkryłeś się niedawno. Trudno ocenić jak długo będziesz mnie bawić – powiedziałam, na co Echo nadęło się dużo mocniej i długo nie wypuszczało powietrza
- Nie, nie, żartuję – sprostowałam szybko. – Echo, jesteś nadzwyczajne. Tak czuję.
- Już prawie żałuję mojego ujawnienia – nadal było nadąsane. – Zrobisz mi tu rewolucję.
- Nie chcesz, to nie – poczułam zmęczenie sytuacją. Więc tu mu zrobię rewolucję, a Echo niby nie jest rewolucyjne, tak? – pomyślałam.
- Chcę, chcę – niespodziewanie rozentuzjzmowało się Echo. – Tylko mam obawy.
- Echo, jak to z tobą jest? – siedząc w fotelu odchyliłam głowę do tyłu i zastygłam. Ciekawa byłam czy Echo mogłoby mnie ugryźć w szyję. O Losie, co za pomysł!
- Normalnie – pomyślało do mnie Echo, na co podskoczyłam zaskoczona.
- No bo jak to jak? – kontynuowało zaczepnie. – Każde Echo ma opcję powie-

dzięki temu ani trochę mniej melancholijny. Zuzanna miała więc miniaturowego Don Kichota i miała w sobie Sancho Panse, który neutralizował tkwiące w niej ziarenko szaleństwa. Czasem jednak nudziła się z nimi okropnie.

– Tylko głupie dzieci się nudzą – szepnęłam przekręcając się na drugi bok. Te słowa obudziły mnie, więc otworzyłam oczy. Lecz nie miałam pojęcia o co chodzi. Zamknęłam znowu. Zasnęłam, a co.

– Dlatego Zuzanna długo zastanawiała się, w jaki sposób wywabić Echo z pokoju. Pokoju, którego Echo nie opuszczało nigdy – Narrator otworzył drzwi swojego mieszkania, wszedł, rzucił płaszcz i w ubraniu położył się do łóżka. Nadal wyglądał wytwornie.

* * *

Tymczasem ja szykowałam się do wstania z łóżka. Światło grasowało po pokoju, jak stado małych kotków. Takie wesołe.

– Chociażby móc spędzić z Echem „porę na obudzenie brzuszka”... albo w jego towarzystwie popukać się w czoło... – pomyślałam.

– Sprawa nie była prosta – Narrator nie spał, Narrator też myślał. – Echo nie wiedziało samo, jak się je wyciąga. Nie wiedziało jak zareaguje na taką próbę. Nikt nie wiedział, czy Echo jest stabilne i gdy już na przykład znajdzie się w nieoczekiwanym przeciagu, czy się nie rozwieje, czy nie zaplącze się w coś po drodze? Echo uważało, że przygotowuje się do wyjścia, rezydując wyłącznie pod progiem i zasypując Zuzannę kolejnymi wątpliwościami. Zuzanna zaś kompilowała maksymalnie różne teorie w misterne plany. Najpierw postanowiła namówić Echo na wizytę w kuchni. Echo wyraziło ochotę, po czym zasiadło w progu.

– No, jeden szlus i jesteś już poza pokojem – poprosiłam Echo.

– Dobrze – odpowiedziało krótko. I dalej tkwiło nieruchomo.

– No, rzut do przodu po cudowną wolność! – zachęcałam (cierpliwie).

– Dobrze – Echo na to.

– No, no już! – zniecierpliwiłam się odrobinę. – Przed tobą cały świat! Drogi, ogrody, murowane zabytki i szklane wieżowce! Nieznane Echa!

– Oczywiście – odparło Echo, nieruchomo tkwiące w progu. Trwało to dobrą godzinę. Aż zmęczona sytuacją sama poszłam do kuchni, choć pora na obudzenie brzuszka dawno minęła... Poszłam, nawet się nie oglądając. Echo tymczasem się obraziło i wróciło pod okno. Pierwsza próba – nie zaliczona.

A Narrator zasnął słodko. Nadal w ubraniu, nieustająco wykwintry.

(...)

Milka Malzahn

Nazywany bywa czasem krytykiem kontrkulturowym, przez wielu zaliczany jest do grona najbardziej wpływowych krytyków sztuki na świecie. Jest także autorem oryginalnych esejów o sztuce, które składają się wyłącznie z obrazów. Zaczynał w Anglii jako malarz i poeta, dziś mieszka i pracuje we Francji, gdzie wystawia swoje prace i tworzy „tekstowo-obrazkowe” powieści. Zdaniem Sławomira Sikory, tłumacza jego książki *O patrzaniu*, prace Bergera mogą nas na powrót nauczyć sztuki patrzenia – sztuki w cywilizacji zachodu paradoksalnie zatraconej.

Ten wywiad zupełnie inaczej sobie wyobrażałam, i zupełnie inaczej zaplanowałam. Rozmowy dziennikarzy z dziennikarzami zwykle są profesjonalne i rzeczowe, obie strony wiedzą, gdzie powinna być pointa, gdzie anegdota, a gdzie można sobie pozwolić na dłuższe, poważniejsze wyjaśnienia.

Rozmowa z Bergerem nie przebiegała według tego sprawdzonego stereotypu. Niezwykle starannie dobierał słowa, nie dbając ani o wyjaśnienia, ani tym bardziej o anegdoty. Milczenie między nami trwało czasem nawet minutę i bywało krepujące. Często nie odpowiadał na pytania, prawie nigdy wprost. Słuchając Bergera, miałam jednak wrażenie, że dopuszcza mnie do jakiegoś wewnętrznego dyskursu, do strumienia swoich myśli, które wybiegają daleko poza naszą rozmowę, i które długo przed naszym spotkaniem rozpoczęły swój bieg.

Co to znaczy: „umieć widzieć, umieć patrzeć”? Dlaczego widzenie jest tak ważne?

To pytanie jest tak skomplikowane, że nie potrafiłbym na nie odpowiedzieć jednym zdaniem. Spróbuję więc posłużyć się przykładem. Mam przyjaciela, Słoweńca, który jest niewidomy od dwunastego roku życia, a teraz ma 55 lat. Studiował filozofię. I kiedy się spotykamy, całymi godzinami rozmawiamy o fotografii i malarstwie. Bo on nie przestał odczuwać potrzeby patrzenia, mimo, że jego oczy już nie widzą. Prosi różne osoby, w tym mnie, żeby mu opisywały obrazy. Jest wielkim erudyta, widzi je doskonale. Jeśli pomyśleć o obrazach Renoire’a, to widać, że są namalowane tak, jakby pędzel był piórkiem. Rysunki Giacomettiego z kolei nie wyglądają, jakby wykonano je piórkiem. Bo czym jest pojedyncze dotknięcie w rysunkach Giacomettiego? To są bardzo precyzyjne py-

tania, a mój przyjaciel jest niewidomy od 40 lat. I być może jest to jakiś sposób, by odpowiedzieć na to pytanie; bo mówimy o ślepcu i jego potrzebie, by nadal widzieć.

Natomiast jeśli mówimy o ludziach, którzy mogą widzieć... Dlaczego to takie ważne? Bo to jeden ze sposobów, żeby się dowiedzieć, że jesteśmy właśnie tu i teraz.

Czy my, współcześni, potrafimy patrzeć, potrafimy widzieć?

Oczywiście. Wystarczy się przejść ulicami waszego miasta, które jest tak piękne. Wystarczy spojrzeć na ludzi: patrzeć na siebie, patrzeć wokół siebie. W ich oczach jest takie spojrzenie, które świadczy, że bardzo głęboko spoglądają na to, co ich otacza. Nie chodzi mi wcale o prostą zdolność rozglądania się, czy o spostrzegawczość. Mówię tu o głębszym widzeniu, o dostrzeganiu tego, co wyda-

WIDZENIE POPRZEDZA SŁOWA

zostać malarzem. Byłem malarzem do trzydziestego roku życia. Pisałem wiersze, jak wszyscy młodzi. Jestem pewien, że Pani też pisała?

Ja? Próbowałam wiele lat temu, jako nastolatka, to chyba typowe.

Proszę poczekać, może to wróci.

To wraca?

Tak sędzę. Kiedy skończyłem trzydziestkę, zacząłem pisać na poważnie. Myślałem, że nie da się pogodzić tych dwu rzeczy – malowania i pisania. Bo żeby malować, trzeba być jak muzyk. Trzeba ćwiczyć codziennie. A ja nie mogłem tego robić, bo pisałem książki. Porzuciłem więc malarstwo, ale nie przestałem rysować.

Uderza mnie w Pana książkach, jak rzadko dostrzega Pan sztukę abstrakcyjną, jak mało o niej pisze. Ma to jakiś związek z Pana teoriami?

Nie, to nie do końca prawda. Uważam, że dwóch spośród największych malarzy dwudziestego wieku to – Rothko, urodzony niedaleko stąd; oraz Malewicz. Nie od razu, ale w pewnym okresie życia byli to wielcy abstrakcyjniści. Bardzo cenię tych dwóch malarzy abstrakcjonistów. A jeśli ludziom wydaje się, że nie lubię abstrakcji, to dlatego, że w pewnym okresie sztuka abstrakcyjna stała się modna, była promowana. Każda inna forma sztuki – sztuka figuratywna – była *démodé*, itd. A ja, jako krytyk sztuki, opierałem się tej dominacji abstrakcjonizmu. I jak zawsze, kiedy chodzi o modę, nie istniało prawdziwe rozróżnienie na dobrą i złą sztukę abstrakcyjną. W każdej kategorii jest naprawdę wiele słabych, ba-

nalnych dzieł – a dopiero potem dzieła wyjątkowe. I naturalnie w sztuce abstrakcyjnej są również dzieła wyjątkowe. Dobrze, że pani o to pyta, bo kilka dni temu pisałem właśnie o Rothko – cóż to za abstrakcja! To nawet nie abstrakcja, lecz sztuka, którą umieszczono w kategorii sztuki abstrakcyjnej.

Są inni, których ceni Pan za tę szczególną „umiejętność widzenia”?

Długo się waham, bo tak trudno eliminować dziesiątki malarzy, których dzieła lubię, którzy są dla mnie ważni, bo pomogli mi zrozumieć życie. Ale jeśli miałbym wybrać jednego, to byłby to Caravaggio. Ale to wybór bardzo, bardzo osobisty. A opiera się na dwóch rzeczach. Po pierwsze, to był swego rodzaju *hooligan*. A ja uwielbiam *hooligans*. A po drugie jest to dla mnie absolutnie wyjątkowy malarz pożądania – w sensie pożądania seksualnego, ale również w szerszym sensie, choć zawsze zmysłowym.

Mam teraz wrażenie, że jakoś zbliża się Pan do odpowiedzi na moje pierwsze, najprostsze i najważniejsze chyba tutaj pytanie – czym właściwie jest owa umiejętność patrzenia?

Widzenie to sposób na przekonanie się, że gdzieś jesteśmy, na określenie swego miejsca w świecie. To jeden ze sposobów, które pozwalają odpowiedzieć na pytanie: dlaczego?

Właśnie, dlaczego?

Nie, o to nie może mnie pani pytać. Nie ma łatwych odpowiedzi na to pytanie, każdy sam musi sobie na nie odpowiedzieć.

Rozmawiała Justyna Nowicka

JUSTYNA
NOWICKA
Dziennikarka
Radia Kraków
i „Rzeczpospolitej”.

Koniec dziesiątej dekady XX wieku przypadł na koniec stulecia i tysiąclecia. Takie fakty sprzyjają czy wręcz prowokują do podsumowań, również na polu literatury. Tym bardziej, jeżeli początek omawianej dekady był w Polsce zarazem końcem totalitarnego ustroju i początkiem demokracji parlamentarnej. Ale czy przełom polityczny stał się również przełomem literackim – oto pytanie często pojawiające się w refleksji krytycznoliterackiej.

Próbuję odpowiedzieć na to pytanie rekonstruując obraz prozy lat 90. widzianej oczami krytyków. Na naszych interlokutorów wybrałem krytyków moim zdaniem bardziej znaczących, również pod względem posiadanego dorobku lub aktywności, którzy są autorami ujęć syntetycznych przedstawionych w formie książkowej. Reprezentują oni różne pokolenia:

Mieczysław Orski, Julian Kornhauser, Jerzy Jarzębski, Rafał Grupiński oraz młodszy – Przemysław Czapliński, Kinga Dunin, Paweł Dunin-Wąsowicz, Dariusz Nowacki i Krzysztof Uniłowski.(1)

ŚLADY PRZEŁOMU

Stwierdzenie, że rok 1989 stanowi cezurę również w polskiej kulturze i literaturze nie powinno budzić wątpliwości. Wolność bowiem to nie tylko uwolnienie literatury od politycznych ograniczeń, to również – i przede wszystkim – nowe dla niej wyzwanie, które po raz pierwszy od przeszło stu lat stanęło przed polską literaturą po roku 1918. Jaka była reakcja pisarzy na sytuację odzyskania niepodległości w roku 1989 i jakie były tego konsekwencje artystyczne – różnie

zostało przez krytyków zinterpretowane i ocenione.

Przemiana? Owszem, ale przede wszystkim po stronie odbiorcy literatury, w sferze recepcji i czytelniczych oczekiwań – twierdzi Jerzy Jarzębski. Już w latach wcześniejszych, poprzedzających przełomowy rok, można było zauważyć zwiększone zainteresowanie literaturą obcą – iberoamerykańską i amerykańską prozą modernistyczną, na które zareagowali wydawcy. Recepcja polskiej literatury kurczyła się niepokojąco i wyraźnie zawężała, co szczególnie widoczne okazało się na początku lat 90., kiedy rozpadowi uległ dawny, scentralizowany system organizacyjny kultury i literatury. To przyczyny w pewnym sensie zewnętrzne. Ale i w rozwoju samej literatury Jarzębski wskazuje na takie destrukcyjne zjawiska, jak rozpad wspólnych kryteriów oceny i brak wizji kulturalnej całości.

*Nie o to więc chodzi – pisał w szkicu *Apetyt na przemianę*, otwierającym książkę pod tym samym tytułem – że w ostatnim dziesięcioleciu brakło nowych, świetnych książek, ale że zabrakło spoiwa, że nie ułożyły się w żadną wyraźną konstelację, rozpoznawalną tak dla przeciętnego czytelnika, jak dla krytyka.*

Na mglistość kryteriów i rozproszenie obiegu komunikacyjnych, brak „naturalnego centrum”, jak nazywa to Grupiński, zwracają uwagę wszyscy krytycy. Polska proza odchodzi zatem od obecnego w niej od wielu lat, mimo politycznych ograniczeń i ideologicznych uwarunkowań, **uniwersum kultury narodowej**, czego konsekwencją jest odrzucenie „wspólnego języka Polaków”, czyli romantycznego idiolektu, odrzuce-

jest możliwe. Na ile jednak trwale? Bo czyż entuzjazm tłumów słuchających homilii Papieża nie wynika bardziej z doznań emocjonalnych, więc chwilowych, niż z intelektualnych przemysleń? Powiedzmy sobie szczerze – mimo akceptacji przez dużą część społeczeństwa na wielu kontynentach świata misji, jakiej podjął się polski papież, problem ten nie znalazł odbicia w polskiej literaturze. Bo z literackiej perspektywy jest to problem na wskroś romantycznej proveniencji, już z samego założenia nieobecnej w najnowszej literaturze. Tymczasem problem – niezwykle istotny w wymiarze indywidualnym i zbiorowym – pozostaje. Od jego podjęcia i rozwiązania zależy – nie bójmy się patosu tego stwierdzenia – przyszłość nie tylko Polski, ale i całego świata, bo wiem w świecie bez granic – do którego zmierzamy – **my** oznacza **wszyscy** i odwrotnie. Globalizacja ogarnia coraz więcej sfer życia i ludzkiej aktywności. Na podjęcie tego problemu polska literatura współczesna, zrywająca z romantyczną tradycją, nie jest przygotowana. A przecież jeszcze nie tak dawno, lecz w zdecydowanie innych czasach, czasach stanu wojennego, Zbigniew Herbert deklarował:

*Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię
najeżdźco
i da ci szańce ziemi pod wierzbą – i spokój
by ci co po nas przyjdą uczyli się znowu
najtrudniejszego kunsztu – odpuszczania
win*

Wróćmy jeszcze do książki Czaplińskiego, której tytuł wykorzystaliśmy w tym rozdziale.

...Jeśli zdanie Rousseau <Nienawiści narodowe wygasną, ale wraz z miłością ojczyzny>

jest prawdziwe – pisze krytyk – wówczas ceną za wyzbycie się nienawiści o podłożu narodowym będzie zanik poczucia tożsamości. Jeżeli natomiast rację ma Lipski, że <patriotyzm jest z miłości>, wówczas okaże się, że po zniknięciu obiektów nienawiści tożsamość trzeba budować zupełnie od nowa. W jednym i drugim przypadku tożsamość jest zadaniem, a jej sprzymierzeńcem i przeciwnikiem staje się wolność.”

Odrzucić to zadanie jako zbędne, czy też uznać, że idea przebaczenia nosi znamiona utopii, to stracić nadzieję na świat, w którym chciałoby się żyć i który warto chronić przed zagrożeniami różnej natury i proveniencji.

QUO VADIS POLSKA PROZO?

Zanim odpowiemy sobie, jaka jest dzisiaj, czy raczej jaka była, młoda proza lat 90., powrócić należy do literackiego kontekstu. Omawiając zmiany, jakie następowały w rozwoju polskiej prozy powojennej, Jarzębski zwraca uwagę na kulturotwórczą rolę emigracji jako swoistość polskiej literatury od czasów romantyzmu aż po rok 1989, oraz na stopniowe zastępowanie czasu historycznego czasem autora. Jednocześnie silna była w polskiej prozie tendencja do – jak słusznie wskazuje Czapliński – afabularności i antyfikcji, wynikająca z dążenia do współuczestnictwa w życiu społecznym. Prawda w literaturze zaczęła być traktowana w kategoriach estetycznych, co szczególnie widoczne było w latach 80. Wyrazem odchodzenia od historii w stronę prywatności była popularność dzienników traktowanych jako substytut opowieści o czasie bieżącym oraz gatunku zwanego sylwą, która to forma godzi – podobnie jak dziennik – prywatność z

PROZA LAT DZIEWIĘDZIESIĄTYCH

rzy. Program młodej generacji, o ile o jakimkolwiek programie można w tym wypadku mówić, to program oparty na negacji: stosunek do poprzedników wynikał z chęci prowokacji, była to zatem raczej kontestacja psychologiczna niż ideowa. Sukces młodzi prozaicy chcieli więc osiągnąć za cenę niepamiętania o tradycji – był to bunt „barbarzyńców” przybyłych „skadinał”, jak ich dosadnie nazywa Uniłowski.

Można powiedzieć, że punktem wyjścia dla młodego pokolenia była „ucieczka z uporządkowanego świata” lub wręcz zanegowanie takiego świata istnienia, było to też zerwanie z „przeklętymi problemami”, wypełniającym dotąd polską prozę, a idąc dalej – zdecydowane odrzucenie przekonania, że uwiarygodnieniem literatury jest jej zdolność do odzwierciedlenia rzeczywistości społecznej.

Najczęściej opisywane przez krytyków, zwłaszcza przez Czaplńskiego, cechy prozy młodych, czyli pisarzy urodzonych między 1960 a 1969 rokiem, to: odejście od problemów etycznych, wręcz immoralizm, fabulacja, czyli pojawiający się często „fabulacyjny model prozy”, a jednocześnie jej nieepickość, traktowanie rzeczywistości jako fikcji, zatem skrajny antymimetyzm przy świadomości konwencjonalizmu literatury. Dalej: osiá intrygi często stają się konflikty poznawczej natury, dojrzałość ukazywana jest jako stan niezakorzenia, bohater absorbuje występująca w życiu przypadkowość losów i zjawisk, jest on – jak zauważa Nowacki – na ogół „człowiekiem prywatnym zanurzonym w uniwersum”.

Prywatność bohatera to niewątpliwie jedna z zasadniczych cech wyróżnia-

jących tę prozę. Grupiński dopatruje się tu nawet nawiązania przez młodych pisarzy – pytanie, na ile świadomego – do tradycji samotności mającej swój rodowód w romantyzmie europejskim. Odrzucając tradycję „zbiorowego obowiązku”, podjęli oni problematykę samotności rozumianej w kategoriach wysiłku i wyrzeczenia.

To proza pozaprogramowa i indywidualistyczna – uważa Grupiński, ale Kinga Dunin wskazuje na zdecydowany brak wśród młodego pokolenia indywidualności. Zatem proza indywidualistyczna bez indywidualności? Jest w tym paradoksie doza prawdy.

PISARZE I PISARKI

Zacznijmy od pisarzy starszego pokolenia. O większości z nich nie pisze się dużo, a jeżeli – to raczej w gazetach i periodykach. Kapuścińskiemu np. więcej uwagi poświęcił tylko Jarzębski (pamiętając o dokonanym wyborze krytyków). Jest on dla niego nie tylko wybitnym, ale nadal nowoczesnym pisarzem, bo stale gotowym na interpretację świata, wymagającego przede wszystkim zrozumienia.

Reporter-pisarz, jakim jest Kapuściński – podkreśla Jarzębski – *nie hołduje też żadnej wybranej poetyce – raczej używa różnych stylów jako mediów, dzięki którym udaje mu się zrationalizować i opisać przemiany świata. Dlatego kryzys i załamanie rzeczywistości – politycznej, społecznej i ekonomicznej – w naszej części świata nie oznaczały dla Kapuścińskiego kryzysu i rozpadu literackich konwencji, jakie dotąd stosował. Stąd między innymi zadziwiająca żywotność jego pisarstwa.*

Znacznie więcej pisano o nagrodzonym *Widnokregu* Myśliwskiego, który –

PROZA LAT DZIEWIĘĆDZIESIĄTYCH

nieprzyjazny człowiekowi świat „to kolejny policzek wymierzony zadufanej i zapatrzonej w swoje gwiazdeczki literaturze trzydziestolatków, to kolejny dowód, że to, co najważniejsze w narracjach lat 90. pochodzi i przychodzi spoza tzw. pokolenia <brulionu>”.

W ten sposób zbliżyliśmy się do reprezentantów młodego pokolenia, dla którego cezurą – do pewnego stopnia umowną – stał się rok 1960. Doczekali się oni nawet słownika, który w sposób co prawda nietypowy, prowokacyjny i przewrotny sporządzili Dunin-Wąsowicz i Krzysztof Varga, tytułując go *Parnas bis. Słownik literatury polskiej urodzonej po 1960 roku*. Bezspornym liderem tego pokolenia jest Andrzej Stasiuk.

Co jest w jego prozie takiego, że mimo krytycznych uwag, mimo pojawiających się zarzutów, że pisze pod „młodych czytelników”, wzbudza nadal największe zainteresowanie krytyki? Na pewno niezwykła sprawność warsztatowa i językowe mistrzostwo. Ale co jeszcze? Może po prostu, jak uważają niektórzy krytycy, wyraża on najlepiej i najpełniej niepokoje swojej generacji. Czaplinski wskazuje na obecny w jego utworach „mit straceńczego pokolenia, któremu została tylko wolność ucieczki” – dorosłość postrzega pisarz jako egzystencjalną pustkę, ośmiesza mit heroicznej męskości, a bohaterowie jego pod maską cynizmu ukrywają wrażliwość. Pisarstwo Stasiuka – twierdzi Czaplinski – ma znaczenie ocalające, przypomina bowiem o konieczności wysiłku na miarę nadziei. Stanowi portret pokolenia tragicznego, bo świadomego „bezsensowności dotychczasowego życia”.

A dalej? Na pewno Olga Tokarczuk, popularnością dorównująca autorowi *Białego kruka*. Nierzadko ceniona jest właśnie za „dobrą prozę popularną”. Ale najlepsza okazuje się wtedy – uważa Nowacki – kiedy wraca do siebie, do swego ja, dokonując „apoteozy odwrotności dojrzewania”. Potrafi Tokarczuk stworzyć własny, niepowtarzalny świat – dodaje Grupiński – w znaczeniu dobrze pojętego tradycjonalizmu.

Bardziej krytycznie oceniona została twórczość Magdaleny Tulli. Jej proza – twierdzi Orski – to ucieczka w daleki indyferentyzm. Olśniona kształtem stylistycznym – zauważa Nawrocki – tworzy literaturę z literatury, kreuje świat całkowicie sztuczny, pozbawiony związku ze światem rzeczywistym.

Sporo zastrzeżeń wysuwają też krytycy w stosunku do pisarstwa Izabeli Filipiak, podkreślając jednak, że jest ono typowe dla jej generacji. *Niebieska menażeria* np. to według Czaplńskiego bardzo zła literatura, ale jednocześnie urokliwa. „I właśnie owo rozchwianie – pisze on – nierówność, konflikt szczerości z rzemiosłem i bezpośredniości z formą decyduje, iż otrzymaliśmy książkę symptomatyczną – tak dla dorobku samej autorki, jak i dla młodej prozy.”

Pisarka obnażając „mroczne strony etyki zbiorowej” stara się dowieść, że wolność można odzyskać tylko za cenę odrzucenia kultury. Zarówno Grupiński, jak i Dunin-Wąsowicz umieszczają jej pisarstwo w nurcie feministycznym. „Feminizm – dywaguje Grupiński – ma być lekiem na kobiece niespełnienia, wygnanie i samotność. Oznacza walkę o prawo do godnego i bezpiecznego bycia w świecie, do samorealizacji i samoakcep-

PROZA LAT DZIEWIĘDZIESIĄTYCH

ginizm toczył świadomość większości naszych młodych twórców?

* * *

Po roku 1989 – uważają krytycy – nie nastąpił w literaturze polskiej znaczący przełom, a przemiana, jak miała miejsce, szczególnie za sprawą pokolenia „wschodzącego”, nosi znamiona okresu przejściowego. W ostatniej dekadzie XX wieku pojawiły się – choć w ilości niewielkiej – silne indywidualności, nadające ton polskiej prozie, ale widoczne jest już pewne przesilenie, „zmęczenie materiału”, nawet – jak dosadnie określił to Nowacki – dreptanie w miejscu, dryfowanie. Najbardziej owocny w artystyczne dokonania okazał się rok 1995 – i nie przypadkowo: w połowie dekady mogły już wykrystalizować się charakterystyczne dla tego okresu tendencje, a debiutujący pod koniec lat 80. oraz na początku lat 90. pisarze mieli już czas, by udoskonalić swój warsztat.

Rok ów na bieżąco jawił się jako bogaty, zróżnicowany, a w wielu swoich aspektach spełniony i brzemienny – pisał Czaplński – tak jakby pisarze debiutujący kilka lat wcześniej wkroczyli w dojrzałość, znaleźli swój ton i formę, osiągnęli pierwszą pełnię. (...) Rok 1995 był naprawdę rokiem rozkwitu, urodzaju, nawet pewnego nadmiaru, z którego czytelnicy i krytycy zaczęli sobie zdawać sprawę w latach następnych – latach likwidacji pism literackich i braku nowych rozwiązań powieściowych.

Zjawisko przesilenia nie dotknęło twórczości zaledwie kilku pisarzy. Można ich wymienić na palcach jednej ręki: Kapuściński, Myśliwski, Kornhauser, Chwiń, Musiał...

Bardzo ważny jest niewątpliwie rozwój literackich narzędzi, literackich tech-

nik, cenić wysoko należy dbałość o warsztat, rzetelność artystycznego rzemiosła. W literaturze podobnie jak w innych dziedzinach życia nie ma już miejsca na amatorstwo. Czy to jednak wystarczy? Czy nadal aktualne nie powinno być przekonanie Andrzeja Kijowskiego, że „wieczne żywe w literaturze pozostaje tylko to, co służy jakiejś większej rzeczy”?

Bogdan Rogatko

BOGDAN ROGATKO krytyk i historyk literatury, autor kilku książek monograficznych i krytycznoliterackich, zajmuje się edytorstwem, dziennikarstwem, aktualnie dyrektor Krakowskiej Fundacji Kultury.

¹ M. Orski: *Autokreacje i mitologie (zwięzły opis spraw literatury lat 90.)*, Wrocław 1997, J. Kornhauser: *Międzyepoka*, Kraków 1995, J. Jarzębski: *Apetyt na Przemianę. Notatki o prozie współczesnej*, Kraków 1997, oraz *Pożegnanie z emigracją. O powojennej prozie polskiej*, Kraków 1998, R. Grupiński, I. Kiec: *Niebawem spadnie błoto*, Poznań 1997, P. Czaplński: *Ślady przełomu. O prozie polskiej 1976-1996*, Kraków 1997 oraz *Wzniosłe tęsknoty. Nostalgie w prozie lat dziewięćdziesiątych*, Kraków 2001, K. Dunin: *Karoca z dyni*, Warszawa 2000, P. Dunin-Wąsowicz: *Oko smoka. Literatura tzw. pokolenia „bruLionu” wobec rzeczywistości III RP*, Warszawa 2000, D. Nowacki: *Zawód: czytelnik. Notatki o prozie polskiej lat 90.*, Kraków 1999, K. Uniłowski: *Skądinąd. Zapiski krytyczne*, Katowice 1998.



Wśród pokrzyw

Korzeń pokrzywy cudny, delikatny
 rozsadził ciężki ponad sobą kamień.
 W czeluść grobowca ciemną się wdzieramy
 przez gąszcz płonący lat, co zasypałe.

Powrót do wnętrza, było kiedyś domem.
 Na naszych butach osiadł proch kultowy:
 Czy to oliwki liście pokruszone,
 koszulka dziecka czy wieniec cierniowy?

Na ścianach mrocznych, z dawna pociemniałych
 szukamy znaków ślepyimi oczyma
 i rąk dotykiem niepewnych, nieśmiałych
 rozpoznajemy lampę i delfina.

dla Franza Petera Künzela

Tak niewiele

Nie mogę ci zostawić anioła, gdy nocą odchodzę od ciebie.
 Jak to się wszystko stało, wie tylko jeden Bóg:
 może obraziłam kiedyś swojego anioła
 możliwe, że go komuś podarowałam zgoła,
 nie ma go już.

CHRISTINE BUSTA
 (1915-1987) –
 poetka austriacka,
 bardzo popularna
 w Austrii nie tylko za
 życia, ale
 nieprzerwanie do
 dziś (tomiki
 wielokrotnie
 wznawiane, ostatnio
 w roku 2000). Polski
 wybór wierszy Busty,
Mała apologia ludzi,
 ukazał się w 1998
 roku.

Mogę ci tylko zostawić swój smutek, ale wiesz,
 że w pustym domu twój własny skromnie już zamieszkał
 i ciemne izby wypełnia i komory serca
 pocieszająco łagodnie jak zimą w chmurach śnieg.

Co więc, odchodząc, naprawdę zostawić ci mogę?
 Tylko snu mego godzinę, mokrą od deszczu drogę
 pożegnań do skrzypiącej furtki poprzez sad,
 tych kilka kroków słyszanych dopiero, gdy przebrzmia,
 i dawno zapomniane imię gwiazdy nade mną,
 a w uszach, które nie śpią, nucący nocny wiatr.

Tłumaczył Ryszard Wojnakowski

RYSZARD WOJNAKOWSKI – krakowski tłumacz literatury niemieckiej.
 Ostatnio wydaje serię współczesnej liryki austriackiej *Śpiewać to być*.

Poetka w swoich utworach opisuje świat współczesny, dosłownie dzisiejszy, tegoroczny, jak to jest wyraźnie zaznaczone w wierszu *Nowy wiek* (*Nie zaskoczył nas nowy wiek. / Po północy wołamy go już po imieniu*). Dokonuje z nim rozrachunku, zмага się z nim, próbuje go zrozumieć, ale przecież obawia się go i wcale się w nim nie czuje dobrze.

Nie dziwi zatem, że zjawia się w tej poezji najważniejsza Maszyna naszego czasu, komputer. Ale przez to, jaką odgrywa tu rolę, wyraża się znamienna dla twórczości Lipskiej przewrotność. Wiersz o komputerze jest wierszem o śmierci. Maszyna nie tylko nie jest w stanie unieważnić eschatologii, ale nawet w niej na swój – mechaniczny – sposób uczestniczy.

W wierszu *Naciśnij Enter* opisane jest *Najnowocześniejsze krematorium w Europie*. W pełni skomputeryzowane. *Pozagrobowe Pentium*. I oto czytamy:

*Na twardym dysku etui trumny.
Leżymy w indeksie nazwisk.*

(...)

*Teraz już tylko plik połączony z niebem.
Zamknięta baza danych.*

Język rzeczowo nazywa komputerowy, technicyzowany świat. Na *twardym dysku* zapisany jest *indeks nazwisk* przeznaczonych do kremacji osób. Równocześnie jednak w zaskakujący sposób ten sam język jest w stanie pokazać grozę śmierci. Można sobie wyobrazić dosłownie *twardy* i dosłowny *dysk* (choć jak sobie go wyobrazić?), na którym złożono trumnę, nie, nie trumnę, lecz lekkie

(tak, lekkie) *etui trumny*. Jest to więc obraz pogrzebu. Ale jakby pogrzebu na niby, nierzeczywistego, wirtualnego. W który trudno uwierzyć, skoro jest tak odmienny od obrzędu, jaki znamy z tradycji. Czy trumna istnieje naprawdę, czy jej w istocie nie ma? Czy *plik połączony z niebem* to tylko byt techniczny, zaprogramowany w komputerze, czy może opisana przenośnią metafizyczna perspektywa istnienia?

Cały wiersz jest pełen takich wieloznaczności. Poetka tworzy napięcie między dosłownością techniki, a dosłownością faktu śmierci, przy czym napięcie to rodzi się w metaforze generowanej przez język. Z jednej strony słownictwo jest poprawnie komputerowe, z drugiej – wykorzystywane jest w zaskakujących połączeniach, które odbierają mu jednoznaczność i przydają metafizycznych sensów.

Najmocniej brzmi jednak pointa wiersza, w której nie ma żadnych zabiegów dokonywanych na języku, przytoczona jest dosłowna „mowa” komputera.

*Czy chcesz na pewno
rozpocząć operację kasowania?*

Naciśnij Enter.

Operacja kasowania brzmi bezwzględnie i ostatecznie. Jako unicestwienie dokumentu, ale tutaj – w krematorium – to jest oddanie ciała na spalenie (chyba można tak zrozumieć tę sytuację), choć może to jest nawet: uśmiercenie. Jakkolwiek zrozumiemy przyzwolenie komputera, zawsze będzie ono brzmiało nieodwołalnie, bez mała eschatologicznie. Eschatologiczny, a zarazem niejed-

ju stopienie poznającego podmiotu z poznawanym przedmiotem. Poezja nie tyle opisuje świat, ile jest światem. Czy to prawda? Czy z tego wiersza wynikałoby, że poetka w takiej sytuacji staje po stronie słów i wyznaczonego przez język dystansu między nią a rzeczywistością? Nie bądźmy zbyt pochopni w wyciąganiu wniosków. Wiersz jest paradoksalny. Wartościowanie jest przewrotne. Hamletyczne *słowa słowa słowa* mimo wszystko są tylko słowami, dosłowny cytat oznacza przeniesienie jego sensu, nawet jeśli intencja jest polemiczna. Napięcie między językiem a światem nie zostaje unieważnione, zostaje tylko inaczej opisane. Raczej wydaje się, że w tym wierszu wyrażony jest dylemat poety, który tyleż nie dowierza językowi, co obawia się rzeczywistości: język jest słaby, ale właśnie dlatego można nad nim zapanować, on jest swój, świat poza językiem pozostaje nieprzenikniony; a równocześnie język jest tak bardzo nieprzystawalny do świata...

Z tego rozdarcia wynika przywiązanie Lipskiej do gry paradoksów. Właściwie tylko paradoksami można mówić o świecie, tak bardzo jest on trudny do ogarnięcia i tak bardzo przeniknięty sprzecznościami. Stąd też wynika sarkazm poetki i jej ironia. Jej widzenie rzeczywistości przeniknięte jest zwątpieniem, o czym wprost pisze:

*Wierzę w zwątpienie
wolna od nałogu wiary.*

*Pod nieobecność życia
śmiertelnie się waham.*

(Zwątpienie)

Jest to swoiste wyznanie wiary wyrażone językiem paradoksu. Zwątpienie i wahanie dotyczą wiary obejmującej wszystko – język, świat. „Wiara w zwątpienie” byłaby więc wyrazem radykalnego sceptycyzmu, który daje wolność, ale też jest paradoksalnym „nałogiem”, skoro polega na odwróconej wierze, a przy tym boli i to boli „śmiertelnie”.

Sceptycyzm i sarkazm poezji Lipskiej wynikają z jej widzenia świata. Przecież jest to świat przeniknięty złem, doświadczeniem człowieka jest samotność, przemijanie, a najbardziej przejmującą rzeczywistością jest śmierć. Ironia, z jaką poetka pisze o naszej terażniejszości, jest wyrazem braku zaufania, wyrazem niewiary wobec obietnic, jakimi obdziela nas nowoczesność, której ambicją byłoby unieważnienie podstawowych niepokojów człowieka.

Widać to w wierszu *Nowy wiek*, gdzie

*Pytanie: co będzie dalej
odsylamy na bal.*

(...)

*Zapina nas na błyskawiczny zamek
życiodoporna kamizelka.*

Oswajamy nowy czas, chcemy się czuć w nim bezpieczni, izolujemy się od samego życia. A przecież problemy nie znikają. Raczej chcemy o nich nie wiedzieć, pragniemy żyć w iluzji spokoju. Jak *Dzieci z moich wierszy* (to tytuł ciekawego utworu, będącego nawiązaniem do własnych wierszy poetki z początku lat siedemdziesiątych), które *mają już około czterdziestu lat* i

NACIŚNIJ ENTER

nie ma elementu racjonalności. Tym bardziej jest ona nieprzewidywalna. W zbrodni nie ma (nawet paradoksalnego i złowrogiego) piękna, jest tylko banał. Czyżby poetka w przeciwnej postawie postrzegala rodzaj estetyzacji tego, co samo jest szpetne i głupie?

Mroczna to, pełna lęku i bólu poezja. Ewa Lipska pokazuje zmaganie się z trudnym do zrozumienia światem. W tytułowym wierszu zbioru pisze:

*Nie wiedziałam czym się to skończy
kiedy zgłaszałam się do życia.
Na ochotnika.*

Świat to sklepy zoologiczne. Cierpienie, niewola, samotność. Bez złudnych nadziei.

*Poeeci znają ten moment:
kiedy jest jeszcze za wcześnie na krzyk
ale za późno na zatrzymanie języka.*

(Wypadek)

To jest poezja na tyle cicha, że nie ma w niej egzaltacji strachu, ale na tyle głośna, że sprzeciw wobec świata wyraża mocno i dobitnie. Poezja własna, osobista, pisana ręką. A zarazem zmagająca się ze światem, tym naszym, dzisiejszym, podporządkowanym Maszynie. Dawid pisał *Psalmy*, gdy już zwyciężył Goliata. Lipska Goliata widzi przed sobą.

Naciśnij Enter. I tak Maszyna, córeczka Z., nowy wiek i śmierć zwyciężą.

Krzysztof Biedrzycki

Stanisław Frenkiel, *Night Racing*, ok. 1988, olej na płótnie, 60 x 50 cm.

Reprodukcja Album



Sztuka powieści

Artur Daniel,
Liskowacki, Eine kleine.

Wydawnictwo 13 muz, Szczecin 2000.

W głównej nurcie prozy polskiej ostatniej dekady dwudziestego wieku panuje niepodzielnie duch nostalgii.¹ Pełno tam melancholijnego rozpamiętywania i retrospektywnych peregrynacji po prywatnych, „duchowych ojczyznach”, Atlantydach pochłoniętych przez czas i nieprzyjazną historię. Miejscem pisarskich penetracji jest na ogół kulturowo-etniczne pogranicze, strefa przenikania się rozmaitych wspólnot narodowościowych, religijnych i językowych. Ta swoista odmiana literatury ewokacyjnej, która odnajduje wzniosłość w intymnej kontemplacji minionego i bezpowrotnie utraconego, narażona jest w sposób szczególny na niebezpieczeństwo schematyzacji i sentymentalizacji. Konwencjonalna estetyka nostalgiczna podsuwa bowiem gotowe, sprawdzone wzorce konstrukcyjne, w których czułościowe kultywowanie szczegółu, fragmentaryczność i retardacyjny tok narracji stają się elementami niemal obligatoryjnymi. Z mechanicznego, mniej lub bardziej udatnego naśladownictwa pisarskiego stereotypu bierze się też zaskakująca, niemal programowo manifestowana epistemologiczna niemoc dużej części „prozy nostalgicznej”. Jak trafnie zauważa Aleksander Fiut, autorzy książek zaliczających się do tego nurtu na ogół *wybierają i opisują momenty przelomo-*

we w różnych epokach historycznych bez wyraźnego określenia ich swoistości. Raczej dość bezładnie gromadzą przesłanki do dalszych wniosków, które nie następują, tworzą analogie bez definitywnych rozstrzygnięć”.² Dominanta nostalgiczna w prozie lat dziewięćdziesiątych sprowadza się bowiem często do ewokowania swoistej aury, która pojawia się wówczas, gdy właściwy przedmiot opisu uobecnia się w sposób jedynie cząstkowy i problematyczny. Wyśilek autora skupia się na samym literackim akcie rozpamiętywania, na rozkoszowaniu się bolesną, niezaspokojoną tęsknotą, która, nieco paradoksalnie, zyskuje wymiar ocalający.³

Eine kleine, najnowsza książka Artura Daniela Liskowackiego, będąca kolejną po *Ulicach Szczecina* i *Cukiernicy pani Kirsch*, pozycją „szczecińskiego cyklu” tego autora, z pozoru doskonale wpisuje się w ów mocno spetryfikowany nurt współczesnej polskiej prozy nostalgicznej. Mamy tu przełomowy moment historyczny, polsko-niemieckie pogranicze, obcą wspólnotę etniczną zatrzęsniętą w historycznej pułapce i prowadzącą beznadziejną walkę o przetrwanie i zachowanie własnej tożsamości. A jednak *Eine kleine* można śmiało zaliczyć do najambitniejszych i najbardziej udanych przedsięwzięć literackich ostatnich lat. O oryginalności i sile powieści Liskowackiego przesądza bowiem przede wszystkim jej precyzyjna, przemyślana konstrukcja odwołująca się do formy i metod kompozycji muzycznej oraz umiejętność zdyscyplinowanego i świadomego budowania napięcia między imperatywem własnej, indywidualnej narracji a opresywnym naporem konwencji.

w samym centrum tego świata, który potrwa może jeszcze dwie, a może trzy godziny. A potem jeszcze dwa, trzy lata"; s. 100).

Stąd chyba powracające parokrotnie w *Eine kleine* nawiązania do *Historii naturalnej* Georgesa Buffona jako swoistej ilustracji uniwersalnych praw rządzących wszelką historią życia – także historią narodów, wspólnot i społeczności. *Historia naturalna, jak oddychanie. [...] Kształty zmienne, płynne formy, przenikające czas jak palce powierzchni wody, dłoń trzepocząca się w wodzie jak ryba, fale, epoki, lodowce obsuwające się w toń oceanu, cień trylobita na piasku, syk, skwir i trzepot pośród liści, w wysokiej trawie, trzask miażdżonych kości, galop gatunków i chrapliwy ryk zapadających w bagno stad, chrzęst kruszących się łusek, szelest porzucanych kokonów, pulsowanie powietrza, zimny blask na okiennej szybie* (s.93).

Historia naturalna znaczy tu więc tyle, co z w y c z a j n a, zgodna z panującym w Naturze „obiektywnym” porządkiem rzeczy, obojętnym wobec kategorii moralnych i losów poszczególnych jednostek. Jej odwrotność stanowi perspektywa „subiektywna”, uwzględniająca indywidualny punkt widzenia, która wprowadza kontrapunktowy wobec motywu „historii naturalnej” motyw szlachetnej walki, odwołującej się do czytelnym reguł, dualistycznego podziału świata skontrastowanego z chaotycznym, amorficznym kłębowiskiem. „Trzask miażdżonych kości”, „chrapliwy ryk zapadających w bagno stad”, „chrzęst kruszących się łusek” znajdują swoje przeciwieństwo w dźwięku przesypanych się w pudełku bierek szachowych. Dźwięk ten pojawia się między innymi w scenie, w której jeden z boha-

terów powieści, inżynier Fritz Hummel, zaraz po zakończeniu wojny w połowie maja 1945 roku powraca po raz ostatni do swojego zrujnowanego mieszkania, by zabrać stamtąd jedną tylko rzecz: *Drgnął, nie natrafiając dłonią na to, czego szukał. Wysunął inną szufladę, pod blatem. I było, tam właśnie: pudło z szachami, wyłożone zielonym filcem. Szu-szuuu. Przesypały się w środku figury, gdy wkładał pudło do torby. Szedł, chrzęszcząc butami po rozbitym szkłe* (s. 112). Zwróćmy uwagę, że kojącemu dźwiękowi przesypanych się w pudełku figur odpowiada natychmiast, niczym ponure *memento*, dysonansowy odgłos chrzęszczącego szkła. Ta sekwencja dźwiękowa stanowi znakomity przykład niezwykle precyzyjnej „instrumentacji” tej powieści, polegającej na subtelnych zestawieniach odmiennie nacechowanych motywów.

Nic dziwnego, że turniej szachowy rozgrywany w Niemieckim Domu Kultury nabiera charakteru swoistego misterium, psychomachii służącej przywracaniu utraconego porządku świata. *Szu-szuuu. Jest w tym coś dobrego. Jakiś ład. Szu-szuuu. Jedność: materia i myśl, hasło i odzew. [...] Turniej to asceza. I reguły. Czytelne reguły świata. Świata dwóch kolorów. Który jest. Był? Ponad wszystko?* (s. 99).⁸ Z tęsknoty za ładem, z poszukiwania ładów w „historii naturalnej”, bierze się absolutyzacja wyrazistego, dualistycznego porządku świata wyrażona biblijną frazą, której jednak, zgodnie z regułą ironicznego dysonansu, odpowiada zaraz gorzki pogłos *Deutschlandslied* z jej butnym i złowieszczym „über alles”.

To powracanie motywów jest charakterystycznym elementem metody kompozycyjnej użytej przez Liskowackie-

szklanej lufce: „Smuga dymu sunąca od Majewskiego niesie ze sobą gryzącą woń siennika” (s. 127).⁹

Funkcję łącznika, w którym dokonuje się proces modulacyjny, pełnią tu kolejno: „melonik”, „nigdy nie zadane pytanie” i „zapach dymu z papierosa”, przy czym rola owego łącznika nie zawsze sprowadza się jedynie do prostego „łączenia” ze sobą kolejnych motywów (na przykład „melonik” występuje jako metonimiczna reprezentacja nakrycia głowy w ogóle, stąd późniejsza „korona”, „czapka”, „kapelusz”).

Liskowacki potrafi też zdobyć się na ironię: swoistą parodią ciągów modulacyjnych jest kompulsywny monolog jednego z bohaterów, Bonkowski’ego, utrzymany w tempie *prestissimo* (por. s. 211). Ironiczny charakter mają wyraziste językowe sygnały w początkowych zdaniach części trzeciej i czwartej, odnoszące się w formie repetycji do tyłów oznaczających poszczególne tempa: odpowiednio *Largo* (*Wieża w ręku Fritza Hummela zatrzymuje się chwilę nad szachownicą, a potem opada powoli na pole zajmowane przez czarnego piona*; s. 99) i *Andante cantabile* („W miarowym kroku jest coś uspokajającego”; s. 167).

Podstawowymi technikami, na których opiera się faktura powieści są jednak polifonia i wariacja. Choć każda z czterech części ma własnego bohatera, o którego losach opowiada (w części pierwszej jest to mały Heini, w części drugiej August Kugel i Bruno Lipke, w części trzeciej Fritz Hummel, a w części czwartej Alfred Bonkowski) to przecież zarówno Heini, jak i Hummel pojawiają się również we wszystkich pozostałych częściach, a Bruno Lipke w części pierw-

szej i czwartej. W *Eine kleine* mamy do czynienia z brakiem narracyjnej ciągłości przy równoczesnym zachowaniu jedności tematycznej, która spaja w całość owych kilka odrębnych, przeplatających się ze sobą historii. Stanowią one odrębne linie kontrapunktu, choć w gruncie rzeczy każda z nich jest rodzajem wariacji na ten sam temat.

W powieści Liskowackiego Fritz Hummel proponuje skrzypkowi, kierownikowi muzycznego zespołu działającego przy Niemieckim Domu Kultury w S., Alfredowi Bonkowski’emu napisanie sonaty lub serenady dla niemieckich mieszkańców miasta, choć zdaje sobie sprawę, że nie ma jednej historii miasta i nie istnieje coś takiego, jak wspólnota doświadczeń, nawet wśród członków tej samej społeczności („Bo nic tu nie jest *eine* ani *kleine*. Żadne wzruszenie, żaden skurcz szczęk, żadna sprawiedliwość ani niesprawiedliwość”, s. 214). Nie wiemy, czy Bonkowski napisał i wykonał w końcu swoją *Eine kleine Stadtmusik*. Możemy się tego jedynie domyślać, patrząc na kompozycję powieści, która naśladując muzyczną formę sonaty rezygnuje z efektownego, finałowego ronda, kończy się niespiesznym, statecznym *andante cantabile* i urwanym tytułem sygnalizuje niechęć do repetycji oczekiwanego wzorca.

Marek Adamiec już na początku lat dziewięćdziesiątych poddawał w wątpliwość autentyczność artystycznych poszukiwań rodzimych twórców prozy nostalgicznej, zajętych mozolnym rekonstruowaniem imaginacyjnych „systemów korzennych”.¹⁰ Postępująca bana-



Stanisław Frenkiel, *Trampoline*, 1985, olej na płótnie.

Reprodukcja Album

badacz o ustalonej i wybitnej pozycji w swoim środowisku i dyscyplinie, stara się wykorzystywać posiadane kompetencje antropologa, ale „w taki sposób, aby czytelnik nie dostawał mdłości”. Nie wiem, ilu czytelników znajdzie i już znalazł *Asterix*... (z pewnością licznych już z tego choćby powodu, że pierwotnie publikowany był „w odcinkach” w nowojorskim „Nowym Dzienniku. Polish Daily News”), ale uważam, że to zobowiązanie zostało przez Bursztę dotrzymane. W efekcie otrzymujemy 29 rozprawek, nazywanych skromnie „zapiskami”, prezentujących problemy i rozważania o różnym stopniu ogólności, od globalizacji po czysto lokalne, polskie, a nawet regionalne zjawiska i wydarzenia, łącznie z wydarzeniami wydawniczymi, stąd także refleksje na marginesie różnych lektur autora, m.in. *Dzienników Kisiela*.

Podobnych zbiorów tekstów ukazuje się ostatnio sporo, chociażby w związku z widoczną w humanistyce postmodernistyczną niechęcią do sążnistych monografii i wszelkich „całościowych ujęć”, powszechnym pośpiechem i coraz większą techniczną łatwością szybkiego publikowania. Chociaż taka autorska strategia krótkiego oddechu ma z punktu widzenia współczesnego czytelnika swoje zalety, często przynosi książki nierówne i myślowo chaotyczne, co nie zawsze da się policzyć wśród plusów. Z całą pewnością nie można tego powiedzieć jednak o *Asterixie*... Sam autor przyznaje, że zawarte w książce teksty nie stanowią żadnego zwartego zbioru, niemniej podkreśla, że wspólną ich cechą jest zasada „siedzenia okrakiem” na różnych tematach. W rezultacie udało mu się stworzyć nie tyle składankę, co swe-

go rodzaju antropologiczny *collage*, którego poszczególne fragmenty kładzione obok siebie dają w rezultacie intrygującą panoramę świata kultury, ujawniającą przy tym zasadnicze reguły jego dynamiki i mechanizmy funkcjonowania, a na tym tle poruszenia człowieka, który w tej kulturze się zdomawia, toleruje ją z większym bądź mniejszym przekonaniem, zмага się z jej uroszczeniami lub odrzuca. Przede wszystkim jednak *Asterix*... to książka, w której sposób myślenia i pisania o kulturze jest co najmniej równie ważny, jak omawiane przez Bursztę konkretne tematy i problemy, które pobudziły jego antropologiczną wrażliwość i wyobraźnię. Autor zdaje się podzielać pogląd Petera Masona, że antropologia jest częścią i funkcją antropologicznego dyskursu, głównie zresztą eurocentrycznego w swym charakterze, i w tym sensie nie jest czysto empiryczną nauką, ale w jakiejś mierze bywa także „literacką” kreacją czy, jak to wygląda ze skrajnie postmodernistycznej perspektywy, narzędziem poznawczego zawłaszczania inności. Jako sposób namysłu nad światem łączy metarefleksję zwróconą ku własnemu, europejskiemu kontekstowi z praktyką interpretacji badanych kultur. Jej istotą jest, jak to ujmuje Burszta we wcześniejszej swej publikacji (*Czytanie kultury*, 1995), nieustanne czytanie kultury, ciągle ponawianie pytania o „innych” i „nas”, o obce społeczeństwa i nasze własne, o przeszłość i to, co zwiemy współczesnością, a co już niebawem będzie czasem przeszłym dokonanym. W *Asterixie*... obraz sposobu doświadczania kultury przez zwykłych ludzi uwikłanych w różnorodne kulturowe konteksty i imperatywy, uwięzio-

ASTERIX ALBO WIDOK NA WIEŻĘ BABEL

się nad wielkimi procesami kulturowymi i trendami występującymi w skali światowej czy kontynentalnej, ale także nad przemianami obyczaju okolicznych lumpów, zaśmiecających jego przydomowy ogródek.

W omawianym zbiorze znajdujemy także refleksje z podróży w czasie, a więc obok refleksji na temat milenijnego przełomu, szkice poświęcone na przykład zjawisku językowego obumierania świata, datowaniu rzeczywistości przez zjawiska językowe, fenomenowi starości w kulturze i trzeciemu wiekowi, śmierci kultury ludowej, życiu politycznemu jako obszarowi nowej mityzacji i magicznych praktyk, zjawiskom „wytwarzania tradycji” w dzisiejszym świecie (to na przykładzie agrobiznesu) itd. Wszystko to w duchu formuły zaproponowanej kiedyś przez Stommę, z którą Burszta całkowicie się identyfikuje: *Porównanie: ja – mój odpowiednik z buszu, pozwala mi się obejrzeć w mojej europejskości czy innej lokalności. Tylko zestawienie: ja – mój odpowiednik sprzed lat, pozwala mi się rozszfrować w mojej „współczesności”. Tak więc współczesności naucza historia.*

Nietrudno zauważyć, że to „ja” pozwala antropologowi na dość swobodne manipulowanie punktami odniesienia. W naszych czasach jednolita, niezmienna, zintegrowana tożsamość (także zbiorowa) należy raczej do dziedziny utopii. Kim jest antropolog? Co jest przedmiotem jego miłości? Jakie lustra podsuwa mu świat, do którego się oddała? Czym jest on sam, bez tych wszystkich odbić? Po prostu antropologiem, reprezentantem określonej profesji o ustalonym, wyrazistym profilu? Czy chodzi także o tożsamość człowieka Zachodu, Europejczy-

ka, Polaka, intelektualisty, określonego pokolenia czy zgoła grupy wiekowej, mężczyzny czy kobiety, mieszkańca miasta czy wieśniaka? Możliwości jest niezmiernie wiele. W książce Burszty ta wielość i zmienność identyfikacji nie stała się niestety przedmiotem osobnej refleksji, choć oczywiście jest wyczuwalna w poszczególnych tekstach. Postulatem jest: być antropologiem, ale pozostaje problem mobilności pozycji antropologa i pytanie o to, czym się jest ponadto w konkretnej sytuacji poznawczej.

Burszta należy do pokolenia antropologów, które znalazło się już w kręgu oddziaływania ponowoczesnych tendencji w interpretacji kultury i jest otwarte na inspiracje płynące z tej strony. Jego członkowie dystansują się na ogół wobec pozytywistycznych, naturalistycznych, a zwłaszcza racjonalistycznych i besserwierskich tradycji dawnej antropologii kulturowej. Tym co łączy tę nową antropologię z dawną jest uznanie za podstawowy aksjomat tezy o heterogenicznym charakterze kultury: świat ludzki to wiele odmiennych, różniących się od siebie kultur. Nawiasem mówiąc, antropologia w swej klasycznej epoce traktowała tę tezę w sposób pozbawiony radykalizmu, który cechuje dzisiejszych badaczy, przybierając często postać fanatycznych prób dekonstrukcji, „decentracji” (bo rozmycie podziału na centrum i peryferie jest ważną przesłanką postmodernistycznej ideologii) i ostatecznie „demontażu” jej poznawczych struktur, paradygmatów i logiki dyskursu.

W epoce przeddemokratycznej i czasach kolonialnej dominacji Europy wielość kultur ujmowana była w ramy ewolucjonistycznie, marksowsko czy jeszcze

ASTERIX ALBO WIDOK NA WIEŻĘ BABEL

dliwych wewnętrznych spraw tej społeczności, wywołuje pytanie o relację między zasadą lojalności a demokracją w multikulturalnym społeczeństwie. Antropolog nie może zaprzeczyć, że odmienność, piękna i tajemnicza, to wartość sama w sobie i warto poznawać a nawet chronić inne style życia, myślenia i zachowania. Ale to tylko jedna strona zagadnienia; demokracja, tworząc wspólną ramę życia dla różnych ludzi, musi upierać się przy takiej dozie uniwersalności, aby płaszczyzna obywatelska była jak najszersza, by teren powszechnie respektowanych wartości był jasno określony i przestrzegany w jednakowy sposób przez wszystkich. Zbiorowość wielokulturowa, która opierałaby się wyłącznie na lojalnościach wewnątrz poszczególnych grup, byłaby koszmarem. Innymi słowy: istnienie problem granicy, do jakiej „lojalność plemienna” nie wchodzi w konflikt z interesami innych ludzi. „Lojalność grupowa ma swoje granice i rozciąganie ich na cały obszar przestrzeni demokratycznej społeczności jest uzurpacją”. Gdzieś tutaj pojawia się problem koniecznej zgody na jakąś formę asymilacji kulturowej (którą skądinąd każda plemienność ma za zdradę główną i atak na integralność duchową), interesująco przedstawiony przez autora na przykładzie wieloetnicznej demokracji amerykańskiej.

Romowie są tylko egzemplifikacją zjawiska o wiele bardziej powszechnego, w którym swój udział mają społeczności lokalne, wspólnoty wyznaniowe, ugrupowania polityczne, związki zawodowe, ruchy społeczne itd. Burszta odnosi swoje rozważania do warunków demokracji. Jest jednak oczywiste, że problem ten pojawia się w każdej ponad-

lokalnie, czy ponadplemiennie zorganizowanej społeczności i jest największym kłopotem każdej integracyjnej inicjatywy. Kłopot polega na trudności odróżnienia sfery kultury publicznej i prawa od tego, co własne, lokalne i szczególne.

Niemniej interesujący jest drugi problem, pytanie o możliwość jakiegoś międzykulturowego *modus vivendi*. Autor nie ma chyba złudzeń, że rzecz może się sama przez się ułożyć. Na to zresztą ludzkość nie może czekać. Przygnębiające doświadczanie potwierdzone przez wciąż nowe fakty nie pozwala jednak na łatwy optymizm. Apoteoza rozmaitych wielokulturowych Arkadii odbywa się zwykle na ich ruinach, jak w przypadku polskich Kresów. Pytanie dotyczy tego, co można zrobić, żeby ludzie jak najmniej byli dla siebie okrutni i jak najlepiej wzajemnie się rozumieli, wiedzieli choć trochę na czym polega ich odmienność. *Antropolog* – pisze Burszta – *świadomy wszystkich błędów, krzywd ale i sukcesów, które stały się jego udziałem i których doświadczał, rzecze: edukować, uczyć wielokulturowości i „tresować” na odmienność jako wartość godną propagowania*. Klasycznym przykładem w tej dziedzinie jest słynna edukacyjna inicjatywa L’Académie Universelle des Cultures, związana m.in. z osobą Umberto Eco. Ile jednak jest realizmu w tym oczekiwaniu na skuteczność „oświecenia”? Czy nie jest to jeszcze jedno złudzenie, że oświecona racjonalność jest panaceum na międzykulturowe kłopoty? Przypomina się w tym kontekście uwaga McLuhana, że poziom nacjonalizmów i temperatura napięć międzynarodowych wzrastają niepowstrzymanie od XVI wieku, równoległe do rozwoju druku. A więc rozwój środków komuni-

ASTERIX ALBO WIDOK NA WIEŻĘ BABEL

się zdaje, sytuacja wygląda zupełnie odmiennie, skoro żyjemy w świecie multimedialnym, w którym wszystkie wydarzenia, gdziekolwiek by nie zachodziły, wydają się dziać jednocześnie, a dobro i zło są w zasięgu wzroku, podstawowe pytanie Steinera nie traci nic ze swej aktualności. Obojętność lub raczej zdawkowa, wyrozumowana solidarność moralna potwierdzają antropologiczną tezę o kulturowym uwarunkowaniu procesu naszego postrzegania: nie nasza przestrzeń i nie nasz czas. Wielość rzeczywistości i nasza ludzkość niczym monada.

Asterix... prowokuje pytanie o strategię współlistnienia i istnienia obok siebie oraz niemniej kłopotliwe pytanie o relacje między tymi strategiami a tym, co można by nazwać „spontanyczną” reakcją na odmienność, a co jest raczej reakcją w istotnym stopniu właśnie kulturowo określona. Może ona być w większym lub mniejszym stopniu nacechowana wyuczoną tolerancją lub obojętnością, ale zawsze pozostaje wrażliwa na stadne impulsy i trybalną identyfikację z jej wielorakimi i na ogół wrogimi światu zewnętrznemu przejawami. Oczywiście, w nowoczesnej, poszerzającej się ekumenie ludzkiej poczucie „my” ma nieustannie zmieniający się zakres. Partykularne poczucie przynależności nie wyklucza całkowicie jakichś mniej czy bardziej selektywnych identyfikacji o szerszym lub po prostu inaczej określonym zasięgu. Książka Burszty dowodzi raczej tego, że we współczesnym świecie utrzymuje się stałe napięcie między dwiema przeciwstawnymi tendencjami: ujednoczeniem, którego znakami są kulturowa i ekonomiczna globalizacja i homogenizacja oraz odśrodkowymi dąże-

niami znajdującymi wsparcie w ideologii lokalizmu i hasłach powrotu do trwalszych i bardziej „naturalnych” postaci tożsamości grupowej. Przekształcenia więzi zarówno społecznej, jak i duchowej nie mają więc stałego kierunku i wspomniana tendencja do poszerzania granic lojalności i solidarności międzyludzkiej staje się przy byle okazji łatwą ofiarą starych albo kolejnych resentymentów, zawracając nasze życie wśród innych w dawne, atawistyczne koleiny trybalizmu i terytorialności: podróż do punktu wyjścia. Tym większego optymizmu wymaga związany z ideologią multikulturalizmu postulat „respektowania różnicy”, a to jest coś więcej niż zwykła tolerancja – umożliwienie każdej jednostce zdefiniowanie własnej tożsamości dzięki znalezieniu grupy, której czuje się ona najbliższa. Podróż w odmienność bez powrotnego biletu.

Zbigniew Pucek

ZBIGNIEW
PUCEK
socjolog,
antropolog
kultury, tłumacz,
autor
m.in. książki
*Pluralizm
cywilizacyjny
w perspektywie
myśli socjo-
logicznej.*

Stanisław Frenkiel, *The Puppet Shop*, 1982, olej na płótnie,
60 x 50 cm. *Reprodukcja Album*



chciały ich potraktować – tzn. rzucić czy oddalić wtedy, kiedy im to odpowiada. Postulat jednakowego po obu stronach zaangażowania jest raczej utopijny, szczególnie w społeczeństwach trzymanych w ryzach strachem przed angażowaniem się z jednej strony i zasadą respektowania cudzej odrębności z drugiej. Więc jak tu wymagać zwierzeń i słodkiego baraszkowania, jak definiować lojalność w związku partnerskim, jak dowieść miłości, by nie obrazić total kobiety i sprostać jej wymaganiom, będącym wypadkową feministycznych klasycznych standardów, poradników, psychoanalitycznych sesji, warsztatów tantrycznej miłości, pouczeń koleżanek, doświadczenia matek etc. Wszystkie problemy, wypowiedzi i zachowania partnera (męskiego) podejrzewane o niepoprawność są natychmiast roztrząsane na spotkaniach po pracy w gronie najbliższych przyjaciółek i najlepszych przyjaciół kobiet – gejów. Mężczyzna jest poddawany wzorowej wiwisekcji, stawiany przed rentgenem sytuacji przeszłych (jeśli nie daj Bóg zadawał się jeszcze z kimś innym na mieście), z czego wyciąga się wnioski co do jego późniejszych relacji i zwykle obdarza krwistą etykietą np. „emocjonalny popapraniec” – mężczyzna zrobił swoje, mężczyzna może odejść. Kobiety są górą, jednym ruchem pozbywają się faceta, wierne stadnemu nakazowi, po czym wracają do pustego domu, w którym nie czeka nikt albo czeka mąż w podróży służbowej – czyli innego rodzaju popapraniec. Po tej krótkiej charakterystyce relacji międzyludzkich w krajach anglosaskich można właściwie wysnuć wnioski: dla wykształconych, niezależnych kobiet doby postfe-

minizmu odpowiedni partner nie istnieje w naturze albo nie został jeszcze wyprodukowany. W społeczeństwie, w którym na nowo odkrywa się dobrodziejstwo zachowań spontanicznych (nie *cool*, nie o.k., nie *correct*), ale samo swoich, docenia intuicję (niekoniecznie newage'owską) i wycofywanie się z wyścigu szczurów takie książki, jak *Dziennik Bridget Jones* były skazane na sukces. Warto przypomnieć, że Fielding miała wspierać poprzedniczki: siostry Brönte, George'a Eliota, który był kobietą, czy najbliższą jej twórczości – Jane Austen – pionierkę prozy realistycznej, w mistrzowski sposób opowiadającą o perypetiach damsko-męskich, demaskującą za pomocą ironicznego humoru i celnej obserwacji psychologicznej obłudę w sferze uczuciowej i obyczajowej. Co ciekawe, związki prozy *Bridget Jones* z jej, teraz mniej sławnymi, poprzedniczkami widać dopiero w filmie, do którego scenariusz napisała autorka i sama wybrała, jakże celnie, jedną z głównych ról męskich Colina Firtha jako Marka Darcy'ego. W tej iście brytyjskiej produkcji nie mogło zabraknąć nieznośnego Hugh'a Granta jako Daniela Cleavera, szefa Bridget i kochanka. Film jest zabawny, dynamiczny, czego brakowało niemiłosiernie rozciągniętej akcji powieści – dziennika, ze świetnie dobraną ścieżką dźwiękową, wyborna komedia *qui pro quo* rodem z *Dumy i uprzedzenia* czy *Rozważnej i romantycznej* (też już niegdyś sfilmowanych).

Bohaterkę *Nigdy w życiu* – Judytę różni od jej anglosaskich poprzedniczek niemal wszystko. „Życie bez stałej posady, bez stałego męża, bez stałej wagi”. Jej główną lekturą nie są poradniki – sama

POLSKA BRIDGET JONES

lepiej; ośrodki odnowy biologicznej, gdzie nabawiasz się innych chorób, wczasy na wyspach egzotycznych, gdzie najlepszym kompanem jest niepozorny polski mafioso, afery mieszkaniowe, wspólne grillowanie, podmiejska wieś, spędzająca życie na podglądaniu innych, miastowych, polskie podmiejskie nieprzejezdne drogi, życie na kredytach, etc.

Niezmiernie cieszy mnie jeszcze fakt, że *Nigdy w życiu* nie jest i nie aspiruje do bycia powieścią ambitną czy tzw. powieścią kobiecą. Jak w klasycznych roman-sach wszystkie wątki można przewidzieć, nawet ten, że tajemniczy Niebieski, którego Judyta nie znosi, okaże się jej kolegą z pracy, który odmieni jej serce. Jest natomiast udaną próbą powieści obyczajowej, której długo nie dane nam było znać od polskich autorów. Kilka scenek rodzajowych jakże częstych i smakowi-

tych zapada w pamięć i śmieszy – o tym jak samotna kobieta buduje dom z ekipą górali, jak pokonuje zazdrosne koleżanki z pracy ich własną bronią, o tym, że kobieta „sparowana” nigdy nie ma szans w pojedynku z feministką i odwrotnie; czy wykastrowane koty są dowodem na podświadomość kastrującą.

Więc jestem za takim pisarstwem, bo ono, działając na czytelnika jako swoista szczepionka na rzeczywistość, czy wręcz fabularyzowany poradnik, dla autora jest ćwiczeniem stylistycznym, jest szukaniem stylu, swoistą próbą głosu. Zanim pojawią się polskie Margaret Atwood, rodzime pisarki muszą trafić na ścieżkę swego języka, jakby powiedziała Sarah Ban Breathnach, kolejna bestsellerowa pisarka pracowicie szczepiona na polskim gruncie przez bogate polskie oficyny wydawnicze.

Agnieszka Kosińska

AGNIESZKA KOSIŃSKA absolwentka polonistyki UJ, zajmuje się literaturą kobiet, redaktorka telewizyjnego programu „Mixtura literacka”.

Stanisław Frenkiel, *Fulham Road Station*, 1984, olej na płótnie, 61 x 92 cm.

Reprodukcja Album



mostek nad strumykiem, aby znowu znaleźć się w Anglii.

Już w średniowieczu, znajdując się na szlaku handlowym, Hay on Wye słynęło z karczm, zajazdów i targów. W samym centrum znajdują się tu ruiny wczesnośredniowiecznego zamku, który w czasie rozmaitych historycznych komplikacji, charakterystycznych dla tego rejonu, przechodził z rąk do rąk, był zdobywany, niszczony i odbudowywany kolejno przez walijskich patriotów i angielskich lordów, by w końcu stać się najsłynniejszym tutaj... antykwariatem. Hay było jednak przede wszystkim przez wieki centrum targowym okolicy a łagodna rzeka Way jednym z dogodnych środków miejscowego transportu.

Hay przyciąga turystów z kilku powodów. Po pierwsze, jest to śliczna miejscowość z mnóstwem wakacyjnych atrakcji. Spacery wzdłuż rzeki dla mniej odpornych, wspinaczka górską dla bardziej zaawansowanych, trasy rowerowe, latanie na szybowcach, kajakarstwo, jazda konna, pola golfowe, tradycyjne puby ze świetnym piwem, jednym słowem wszystko, czego oczekiwać może brytyjski urlopowicz. Zwykle jest więc to miejscowość pełna gości. Ale Hay raz w roku przeżywa prawdziwy najazd i wtedy trzeba się naprawdę dobrze napracować nad znalezieniem wolnego miejsca w hotelu. Jest to w czasie jednego z najsłynniejszych festiwali literackich w Wielkiej Brytanii, który odbywa się tu corocznie wczesnym latem.

Festiwal ten jest swego rodzaju fenomenem. Przybywa nań zwykle około 50 000 gości, co nie jest mało, jeśli się weźmie pod uwagę, że Hay on Wye liczy sobie tylko około tysiąca trzystu miesz-

kańców. W tym roku festiwal odbył się już po raz czternasty i był – mimo obaw organizatorów w związku z niedawnym wybuchem zarazy wśród trzody i kwarantanną niektórych regionów rolniczych – ogromnie udanym przedsięwzięciem. W czasie jego trwania odbyły się w Hay nie tylko liczne spotkania i wywiady z pisarzami i dziennikarzami, filmy, koncerty i przedstawienia teatralne, ale też towarzysząca festiwalowi dwudniowa konferencja poświęcona nauczaniu języka angielskiego. Charakterystyczne jest, że wcale nie poślednie miejsce zajęła uczestnikom festiwalu dyskusja o kryzysie rolnictwa brytyjskiego, połączona z akcją charytatywną zbierania funduszy na potrzeby dzieci rolników z regionów objętych kwarantanną.

Festiwal jest też zawsze okazją dla wielu artystów do wystawienia swoich prac w miejscowych galeriach sztuki i miejscem spotkań... fanów sztuki ogrodniczej, która ma w Wielkiej Brytanii ogromną literaturę. W istocie, festiwal ten zdaje się łączyć świetnie kilka dziedzin – dyskusje o sztuce i polityce nie kolidują z rozmowami o uprawie roli i ogrodnictwie, a do tego dochodzi jeszcze silny nacisk położony na turystykę i reklamę regionu.

Kto nie był nigdy w Hay on Wye, może zadawać sobie pytanie, dlaczego ta mała miejscowość leżąca na granicy Anglii i Walii stała się Mekką dla literackich pielgrzymów i jak to się stało, że jeden z największych i najciekawszych festiwali literackich w Wielkiej Brytanii właśnie tutaj się odbywa. Stało się tak za przyczyną kilku szczęśliwych okoliczności oraz uporczywego jednego z mieszkańców tego niezwykłego miasteczka.

MIASTO KSIĄŻEK

pubów i kawiarenek, których wystawione na zewnątrz stoliki z kolorowymi parasolami kuszą przechodniów.

W starych domkach z szarego kamienia mieszczą się również liczne sklepy z antykami i galerie sztuki, przyciągające bardziej snobistycznych turystów. Centrum zdominowane zaś jest przez miejscowy targ, na którym znaleźć można przede wszystkim produkty z okolicznych farm, od słynnego z tych okolic miodu we wszystkich możliwych odcieniach bursztynu i złota, po wyroby z wełny i drzewa. Jak w Zakopanym pod Gubałówką, tak i tutaj na stolikach wyłożone są futrzaki z owczej skóry, wełniane czapy i rękawice oraz wyroby miejscowego rękodziela, wśród których królują charakterystyczne walijskie drewniane, w wyszukany sposób ozdobione łyżki, które dawniej zgodnie z tradycją pastuszkowie rzeźbili w prezencie dla swych ukochanych. Targ połączony jest często z demonstracjami dawnych, a wciąż żywych umiejętności tkania, przędzenia czy budowy wiklinowych płotów.

To właśnie niezwykle połączenie życia intelektualnego z promocją rolniczego regionu stanowi o specyfice tego miejsca. Nic dziwnego, że „The New York Times” napisał o festiwalu w Hay on Wye nie tylko, iż jest „jednym z najważniejszych festiwali na świecie” ale też, że jest on czymś w rodzaju „międzynarodowej konferencji połączonej z wiejskim weselem”.

Hay on Wye, niewielkie miasteczko o długiej historii, zdobyło sobie w każdym razie istotne miejsce nie tylko na rolniczej i turystycznej, ale i intelektualnej mapie Wielkiej Brytanii.

Sierpień 2001, Hay on Wye

Ewa Mrowczyk-Hearfield



EWA MROWCZYK-HEARFIELD
absolwentka polonistyki UJ,
od 1999 wykłada na uniwersytecie w Bristolu.



Fotografia Ewa Mrowczyk-Hearfield

dia na krakowskiej ASP, ale wybuch wojny i to, co wówczas enigmatycznie nazywano „losem, który rzucił go do ZSRR” – zaprowadziło malarza przez Bejrut do Londynu. Od starszych kolegów w Krakowie dowiedziałem się o pogadankach o sztuce, jakie Frenkiel wygłaszał w BBC, potem natrafiłem na jego teksty. Informacji udzielił mi też Czapski, który bardzo cenił Frenkla (zresztą z wzajemnością). Tak poznałem, a raczej „zobaczyłem” Stanisława Frenkla po raz pierwszy. Ponury żart historii – to termin wystawy Frenkla w Krakowie w grudniu 1981 roku. Stan wojenny uniemożliwił jej zobaczenie. Dopiero w roku 1992 w Pałacu Sztuki mogłem zobaczyć wielką wystawę Frenkla.

Pamiętam jak wczesnym popołudniem wszedłem do Pałacu ciesząc się, że zwiedzających niewielu, więc będę mógł spokojnie pooglądać obrazy. W jednej z bocznych sal zobaczyłem starszego pana, niewysokiego, krępego, który spacerując przyglądał się obrazom i zwiedzającym. Dzięki wrocławskiej telewizji, już po chwili uświadomiłem sobie, że to jest właśnie Stanisław Frenkiel. Nieśmiało podszedłem, przedstawiłem się i rozpoczęła się wielka przyjaźń ze Stasiem. Prosto z placu Szczepańskiego zaprowadził mnie do swego dawnego rodzinnego domu, pokazał rysunki, grafiki, a ofiarowana mi wtedy *Wiolonczelistka* wisi teraz obok gwaszu Józia Czapskiego przy biurku, tworząc serdeczną galerię moich malarskich miłości.

Pamiętam uroczystość nadania Frenklowi tytułu Honorowego Profesora krakowskiej ASP. Staś wraz z żoną Anną był wtedy kilka dni w Krakowie. W mieszkaniu pokazywaliśmy Staszko wi i Ani nasz „papierowe” prace. Moja

żona ułożyła na podłodze swoje akwarele, a Staś chcąc dokładnie je obejrzeć położył się na dywanie i wnikliwie im się przyglądał. Wyglądał jak mały chłopiec, który w momencie pojawiających się trudności – pokonuje je bez względu na okoliczność.

Kolejnym wydarzeniem, które było znakiem uznania malarskiej pozycji Stanisława Frenkla w kraju, ale i w Londynie (gdzie był członkiem Królewskiej Akademii Sztuki), było przyznanie mu członkostwa zagranicznego Polskiej Akademii Umiejętności. Wreszcie świetnie przygotowana i zrealizowana przez krakowskie Muzeum Historyczne w Kamienicy Hipolitów wystawa Artysty w związku z jubileuszem 180-lecia ASP w Krakowie, pozwoliła zobaczyć autorski wybór najnowszych prac malarza. Otwarcie wystawy połączono z promocją książki pt. *Kożuchy w chmurach*, która jest wyborem recenzji i esejów Frenkla o sztuce dawnej i nowej, polskiej i angielskiej, o problemach twórczości i powinnościach sztuki – tych publikowanych w londyńskich „Wiadomościach”, ale także wygłaszanych w BBC. Wydawcą tomu jest toruński Uniwersytet Mikołaja Kopernika, zajmujący się od lat tzw. archiwum emigracji.

Był to rok 1998, a Staszek w świetnej formie z żoną, córką Oleńką, zięciem i wnuczką był po prostu w Krakowie, był u siebie, był szczęśliwy. Malował, robił sporo grafik, podróżował. W roku 1968 Stanisław Frenkiel pisze: *Prawo do odczuwania jest odpowiedzią na przymus maszerowania pod rozwiniętymi sztandarami tego czy innego kultu. Grupowanie artystów w szereg ułatwia pracę historykom sztuki i krytykom, ale gubi się w tym sztuka. A jednak w ostatecznym rozrachunku ci nieuszeregowani*

WSPOMNIENIE O PRZYJACIELU

w gronie zdemobilizowanych polskich żołnierzy, będąc po studiach w bejruckiej Akademii Sztuk Pięknych – ale przecież londyńskie klimaty były obce, odległe dla malarza z Krakowa. Idący podobna drogą ze Starobielska, poprzez sztab Andersa i dramatyczne poszukiwania zamordowanych w Katyniu – malarz Józef Czapski zostaje w Paryżu. Odcięty od kraju i rodziny, pracujący w „Kulturze”, co jednoznacznie przekreśliło nadzieję powrotu – był Czapski w mieście swej kapistowskiej młodości. Mimo wielu trudności, niechęci komunizującej Francji do autora *Nieludzkiej ziemi*, miał ukochane muzea i krąg przyjaciół. Może jest to porównanie ryzykowne, może to naiwne segregowanie emigracyjnych losów, ale dla oderwanych od Ojczyzny artystów były to jak przypuszczam decyzje – dzisiaj już, zaledwie po upływie pół wieku – trudne do opisan.

Pozostający w Londynie Frenkiel ma już rodzinę, podejmuje mimo to systematyczne studia malarskie, pedagogiczne, studiuje historię sztuki. Równocześnie wiele maluje, wystawia, zaczyna wchodzić w tamtejsze środowisko. A było to środowisko trudne, hermetyczne. O tym poczuciu obcości mówił też Potworowski, nie mógł się z nim pogodzić Henryk Gotlib. „Polski Londyn” to przecież także osobna i niezwykła historia, to ludzie, ich przyjaźnie, ale i emigracyjne swary. Frenklowie żyją przecież w tych emigracyjnych kręgach. Równocześnie jednak ma miejsce uniwersytecki awans Stanisława Frenkla (jest między innymi dziekanem Wydziału Pedagogiki Uniwersytetu Londyńskiego), jest członkiem ekskluzywnej grupy twórczej London Group, wreszcie jedynym Polakiem – członkiem

Królewskiej Akademii Sztuki. Pozwala to zrozumieć, jak kompetentnym był nauczycielem i jak, na „londyńskim” tle, wyrazistym i cenionym artystą. Dodajmy – jak musiał być wewnętrznie silny, by wchodząc w przysłowiowy brytyjski hermetyzm ze swoim malarstwem, by – mówiąc popularnie – robiąc tak błyskotliwą karierę (w najlepszym tego słowa znaczeniu) – nie stracić niczego ze swego ciepła, normalności życia, ciągłej pracy ze świadomością, że tak wiele ma jeszcze do zrobienia.

STANISŁAW FRENKIEL, 1928

Reprodukcja Album



WSPOMNIENIE O PRZYJACIELU

W *Koźuchach w chmurach* napotyka-
my niezwykle ciekawy esej Frenkla o ma-
larstwie Rouaulta. Frenkiel poznał go
osobiście, a analiza wystawy w Tate Gal-
lery jest (tak przynajmniej sędzę) roz-
ważaniem po trosze o własnym świecie
i o własnym „nieuszeregowaniu”. W tym
tekście Frenkiel wyjaśnia swoją wizję
twórczości wielkiego Francuza. Jego póź-
ną twórczość – tak przecież cenioną –
uważa za schyłek wielkości, za apogeum
uznając wczesne cykle z sędziami i sce-
nami z zamtuzów. Pisze Frenkiel: „Bo-
haterami ... Rouaulta są Chrystus, pa-
jac i kurwa (słowa tego używam świad-
omie uważając je w tym kontekście za
konieczność)...”. A przecież taki właśnie
świat Rouaulta jest moralitetem, tak jak
moralitetem jest wielkie malarstwo
Frenkla. Kolor i światło w jego obrazach,
rodzaj deformacji ludzkiego ciała, twa-
rzy, ale i architektury czy krajobrazu, są
rezultatem wnikliwej obserwacji, rezul-
tatem mistrzowskiego opanowania
warsztatu malarza – realisty. To jest więc
sprawa jakości (formy) malarstwa Fren-
kla. Ale przecież cały ten malarski świat
zaludniony jest nie tylko znakami świet-
nego malarstwa. Jest tam jeszcze treść,
jest tam niezwykła opowieść o człowie-
ku. Nie narodziła się z pogardy czy szy-
derstwa. Jej początkiem jest miłość i
współczucie. W rysunkowym cyklu *Ty-
fus w Rosji* warto zobaczyć, jak cieniutka
jest granica między koszmarem a wisiel-
czym humorem, między reporterskim
rysunkiem a zapisem ludzkiej śmierci.

Przeoglądam teraz jego listy pisane
tym samym gestem, który odnajduję w
obrazach. Pytania o dom, zdrowie, wnu-
ki. Wspominamy wieczorne telefony od
Staszka i Ani, krakowskie spotkania i roz-
mowy. Niezwykłe było to, że malarz ta-

kich obrazów, obrazów dynamicznych,
barwnych, ostrych w kolorze i deforma-
cji, ale przecież równie ostrych w swych
treściach, był człowiekiem o chłopięcym
spojrzeniu bardzo błękitnych oczu, był
skupionym słuchaczem, serdecznym
przyjacielem, bardzo ceniącym sobie każ-
dą rozmowę, każde spotkanie. W czasie
krakowskiej wystawy u Hipolitów stu-
denci pytali mnie, czy mogą podejść do
pana Frenkla, ucisnąć mu dłoń, powie-
dzieć, że to co robi jest im bliskie. Staś
był bardzo ubawiony tymi pytaniami, a
rozmawiał ze studentami jakby znał ich
od lat. Pogodny i uśmiechnięty malarz,
bliski ludziom, dowcipny i ciągle cieka-
wy świata – powołał do życia przedziw-
ny tympanon. Zgromadził tam bohaterów
swoich płócien. Frenkiel dokonał rzeczy,
która udaje się największym: połączył w
swych obrazach dydaktykę i śmiech, go-
rycz i rozpacz, szaleństwo i rozwiązołość,
miłość i wiarę w Boga, kpinę i miłosier-
dzie z malowaniem „całą gębą”, malowa-
niem, którego siła ma namiętność Souti-
na i głębię wspomnianego tu Rouaulta.
Jest chyba coś takiego jak wspólnota ar-
tystów i ich modeli, w której dostrzec mo-
żemy zmęczoną prasowaczkę Degasa i
zwarte w tańcu pary Lautreca, ministran-
tów Soutina i na czarno ubrane kobiety
Boznańskiej, patrzącego na nas pod świa-
tło Beckmanna i rudego Van Gogha,
wreszcie Francisca Bacona z ochłapami
torsów i twarzy.

W tym pochodzie odnajdziemy Sta-
nisława Frenkla i jego misterium życia,
udręki i miłości. Zapamiętajmy: był i
pozostanie wśród największych. Wśród
największych i nieuszeregowanych.

Stanisław Rodziński

Reprodukcje: Anthony Dyson, *Passion & Paradox: the Art
of Stanislaw Frenkiel*, Black Star Press 2001, Teddington.

STANISŁAW
RODZIŃSKI
malarz i eseista,
rektor Akademii
Sztuk Pięknych
w Krakowie.
Współpracuje
z Uniwersytetem
Jagiellońskim
oraz z Instytutem
Sztuki
Liturgicznej
Papieskiej
Akademii
Teologicznej
w Krakowie.
Członek
rzeczywisty
Wydziału
Twórczości
Artystycznej
Polskiej Akademii
Umiejętności,
działa
w krajowych
i międzynarod-
owych organiza-
cjach twórczych
(AIAP, AICA).
Laureat wielu
prestiżowych
nagród, m.in.
Fundacji
Jurzykowskiego.

jakiś model wypracowany przez współczesność, w jakiej żyje. Fielding zarysowała taką sytuację bardzo grubą kreską. I pomysł chwycił.

Łatwo było przewidzieć, że popularność *Dziennika Bridget Jones* szybko wykorzystają filmowcy. Książka wpisała się bowiem doskonale w nurt seriali typu *Ally McBeal* czy *Jak upolować mężczyznę czyli seks w wielkim mieście*, których bohaterki, znerwicowane trzydziestolatki miotają się pomiędzy realizowaniem hasel feministycznych, a jakże „staroświeckim” pragnieniem posiadania męża (choć dla dziś nie wypada już pisać „męża”, trzeba raczej pisać „partnera życiowego”). W końcu zegar biologiczny tyka...

O tej realizacji dużo się mówiło. Zwłaszcza na całe zamieszanie wokół powieści, spekulacje dotyczące obsadzenia głównej roli urosły do całkiem poważnego problemu. I oczywiście ostateczna decyzja wzbudziła kontrowersje. Bridget Jones, symbol współczesnej Angielki miała zagrać amerykańska aktorka Renée Zellweger. Ale Zellweger posiada duży talent komediowy, niektórzy krytycy porównują ją nawet do wielkiej Shirley McLaine. Swoją pozycję aktorską ugruntowała zdobywając nagrodę nowojorskiej krytyki filmowej za rolę w filmie *Siostra Betty* Naila LaBute. Wybór więc wcale nie był taki zły, zwłaszcza że otoczono ją angielskimi aktorami, z gwiazdą – Hugh Grantem – na czele. I jaki film powstał? Przede wszystkim całkowicie rozmiłujący się z założeniami książki. Słyszałam bowiem wiele głosów rozmaitych wielbicieli powieściowego *Dziennika*, że film spłyca pomysł autorki, że w filmie z bohaterki zrobiono idiotkę, której znakiem rozpoznawczym jest wyraźna nadwaga i

nadużywanie alkoholu, że – jeśli założyc fakt, iż w powieści mamy do czynienia z portretem typowej współczesnej kobiety – to w filmie sprowadza się to do uogólnienia, które głosi, że współczesna kobieta nic innego nie robi, tylko co wieczór upija się z powodu braku mężczyzny u swego boku.

Ponieważ nie należę do zapalonych wielbicielek powieści Helen Fielding, postanowiłam przyrzeć się tej adaptacji bez specjalnych emocji. I cóż można dostrzec? A przede wszystkim to, że filmowy *Dziennik Bridget Jones* nie jest żadnym manifestem czegokolwiek, nie rości sobie prawa do budowania jakiegokolwiek ogólnego typu bohaterki, która ma sobą coś powszechnego prezentować, a jest za to najzwyklejszą w świecie komedią romantyczną, na dodatek nie wyróżniającą się niczym specjalnym z grona wielu innych romantycznych komedii. Oczywiście powieść Helen Fielding nie jest komedią romantyczną, ale idealnym materiałem na taki scenariusz. Dlaczego? Proszę bardzo – oto odpowiedź. Podstawowym wątkiem dramaturgicznym tego skądinąd sympatycznego gatunku filmowego są zwykle sercowe perypetie głównej bohaterki (zdarzają się, że głównym bohaterem jest tu mężczyzna, ale dzieje się tak zdecydowanie rzadziej), która reprezentuje ukochany przez Amerykanów typ „dziewczyny z sąsiedztwa”. Odróżnia ją to zresztą od heroiny melodramatu, ponieważ heroina melodramatu zwykle bywa kobietą o wyjątkowych cechach. W klasycznym modelu kina wyróżniała się urodą bogini, obecnie kładzie się nacisk na cechy jej niezwyklej osobowości. Tak czy inaczej, to nieprzeciętność jest podstawowym rysem bohaterów melodra-



Stanisław Frenkiel, *Melon Eaters*, 1988, olej na płótnie, 100 x 72 cm.

Reprodukcja Album

nego, uroczego, ale pustego uwodziciela (w tej roli Hugh Grant). Jest to schemat żywcem wyjęty z *Dumy i uprzedzenia*, bo też z inteligentnych powieści miss Austen twórca komedii romantycznych wiele mogliby się nauczyć. I pewnie to robią.

Należy zatem zadać pytanie następujące: czy można mówić o jakimkolwiek fenomenie filmowego *Dziennika Bridget Jones*? Zanim się jednak na nie odpowie trzeba zadać inne pytanie, a mianowicie

takie, czy należy mówić o jakimkolwiek fenomenie powieści Helen Fielding? Ale ponieważ odpowiedź na to drugie pytanie nie jest moim celem, odpowiem na pytanie dotyczące filmu. Oczywiście, że filmowy *Dziennik Bridget Jones* nie jest żadnym fenomenem. I nawet tego nie udaje. Może to sprawiło, że zmęczona hałasem wokół powieści obejrzałam go z całym spokojem dozą przyjemności.

Joanna Wojnicka

JOANNA
WOJNICKA
ur. 1970,
filmoznawca,
asystent
w Instytucie
Sztuk Audio-
wizualnych UJ,
w 2001 r. ukazała
się w wyd. Rabid
jej książka *Świat
umierający.
O późnej
twórczości
Luchino
Viscontiego.*



Stanisław Frenkiel, *Tramway*, 1947, tusz lawowany na papierze, 28 x 20 cm.

Reprodukcja Album

zapewne stoją inni aktorzy, ale zanim wejdą, pociąg minie ich i pozostaną anonimowi.

Na drugim piętrze trzeciej kamienicy potężna palma przy samym oknie wyciąga do nas zakurzone liście. W mętłym świetle jej cień jest mniej wyrazisty, wokół palmy krąży staruszek w bonżurce, nie spogląda w stronę okna, gdy

pociąg zbliża się z hałasem, celebrytuje zawartość talerzyka, wreszcie wrzuca go ukradkiem do donicy z palmą. Wtedy obraca się powoli, oblizuje palec, odstawia talerzyk. Przesuwamy się wraz z pociągiem, wchodzimy do pokoju z tapetami. Są brązowe, ale przedstawiają wielkie kwiaty, sepiowa łąka wciąga nas, nagle z głębi pokoju wybiega sepiowy

Śledzę powolny krok Gandawczyka, zmierzającego do drzwi wyjściowych i wracam do mojej gazety. Gazeta jest francuska i natrafiam w niej na słowo nowe: *jeunisme*. Więc jak to przetłumaczyć? Kult młodości? Terror młodości? Ależ tak – młodszość! Łydka Młodzikówny dopada mnie w Gandawie i znowu prowokuje swoją białą skarpetką.

Ciemnieje kanał, stary Gandawczyk osiąga drzwi mieszkania i zasuwa zamki, składam starannie gazetę i wyruszam w stronę trzech katedr.

IDĄC W NIEDZIELĘ NA CHÂTELET

Znajomi trochę się dziwią. To jest bowiem moja rytualna, niedzielna wybieczka, i trochę trudno się z niej wytlumaczyć. Przyzwyczajenie trwa od lat i nie anuluje bynajmniej mojej miłości do wystaw, zabytków i wszelkich pomników sztuki.

Kiedy więc przyjeżdżam do Paryża, niecierpliwie oczekuję niedzielnego przedpołudnia. Nabrzeże Châtelet zaczyna się przy placu o tej samej nazwie, kończy mniej więcej w okolicy Luwru. W dzień powszednie wygląda tak samo, jak inne bulwary w tej części Paryża. Ale niedziela daje mu zupełnie nowe życie, które przybiegam obejrzeć, wbrew miastu i jego zabytkowej urodzie.

Bo oto wchodzimy w wielką wieś i w wielki ogród, otaczają nas bujne kwiaty, słychać koguty, kury, psy, pachnie ziemią i wodą, słomą i nawozem.

W klatkach siedzą małe pieski, rasowe i nierasowe, a także koty. Najpiękniejsze są wysokopienne róże obsypane kwieciami. Doprawdy, kwieciami, bo jak

nazwać inaczej tę obfitość, barwność, doskonałość? Nie dorówna jej żadna pocztówka, nawet wzmocniona piękną damą z falista fryzurą. Róże na Châtelet w każdej chwili mogą stać się moją własnością.

Tak samo jak psy i kotki, koguty mogą sobie zabrać do frenetycznego piania, do głoszenia pochwały życia, tutaj, w Paryżu i gdziekolwiek indziej.

Zagłębiam się w obfitość nasion, jeżeli nie kupię tych kwiatów, które są, wyhoduję sobie z nich wszystkie rośliny świata. Zamieszkam w kamiennej farmie na wsi, położonej pośród wzgórz, o świcie będę pielili rośliny, w południe odpoczywała w hamaku, po południu piła herbatę w cieniu starego drzewa, wieczorem zaś znowu zakrzętnę się koło roślin, i tak upłynie piękny dzień, któremu początek da mój niedzielny spacer na Châtelet. Ileż pożytku, ileż przyjemności, ile dobrego życia! Ile wspaniałych obietnic w tym niedzielnym spacerze po nabrzeżu Châtelet!

Staram się więc pozostawać jak najdłużej w gąszczu kwiatów i roślin, wdychając zapach wody i nasion. Ale wszystko się kończy. Idę dalej wzdłuż Sekwany, w stronę Luwru. Dobiaja mnie głos dzwonnów z kościoła Saint-Germain-l'Auxerrois. Ten sam dźwięk oznajmił Paryżowi rzeź hugonotów.

Skończyła się sielanka, szare mury Luwru otwierają historię. Ale wrócę znowu na moje ulubione nabrzeże. Do domu, do zwierząt, do roślin.

Z HERBERTEM NA KRECIE

Podróżnymi esejami Herberta rządzi duch baedekera. Z przewodnikiem w

nej z ich przyszedł na świat Zeus. Była to ciemna kolebka, co bardzo poruszyło Herberta. Nasza mityczna kultura zaczęła się w mroku, aby z niego wyjść na oślepiające światło Krety, w jej nieustanny błękit, w jej nieznające umiaru kwitnące krzewy.

Sir Evans dożył drugiej wojny światowej. Był niezłomnym starcem i sprawował rządy w Knossos twardą ręką. Nie zobaczył już, może to i dobrze, jak zdemokratyzowane tłumy szturmują jego pałac, nad którym niebo przecinają wielkie, srebrne samoloty.

Małe placyki w Iraklionie, na których lubił przesiadywać Herbert, aby wczuć się w ludowego ducha Krety, pijąc wino w tawernach, są wypełnione po brzegi właścicielami kamer i cyfrowych aparatów fotograficznych.

Po kamiennych posadzkach biegają koty, pełne zaufania do przybyszów z innego świata. Mogą dzięki nim poznać smak kreteńskiej kuchni. Spoglądam na ich zapobiegliwą bieżącą (a koty to najlepsze dzieło stwórcy...) i zaznaczam fragment w książce Herberta:

Szczątki imperium, potężnych zamków i stolic nie wzruszają tak bardzo, jak ruiny pałaców minojskich. Wydaje się, że mieszkańcom Krety obca była pycha wielkich cywilizacji. Nie wyzywali losu. Starali się przetrwać w swojej odrębności i w złudnym poczuciu bezpieczeństwa. Rozpętane żywioły były jak gdyby zbyt wielkie i nieproporcjonalnie okrutne w stosunku do tego, co niszczyły. Ich ruiny to ruiny kołyski, ruiny pokoju dzieciennego.

I pałac z Knossos mógłby posłużyć jako dekoracja baśni. Nie jest zbyt wielki. Evans odtworzył jego łagodne kolory. Przeważa wśród nich błękit, naj-

wdzięczniejszy w znanym fresku, przedstawiającym trzy wesole delfiny.

Można się trochę dziwić, że Weneccjanie, których fortyfikacje znaczą brzegi wyspy, opuścili ją. Czyżby ich kultura – nie myślę o koniecznościach militarnych – była wobec dziecinnej Krety zbyt wyrafinowana?

Ślady Wenecji – perły, białego miasta (tak ją widział na przykład Brodski) zachowały się na Krecie w postaci czerwonych murów nadbrzeżnych fortyfikacji, wspaniałych arsenałów i wąskich kamieniczek. Ale nad tymi resztkami urosły z powrotem domy kreteńskie – proste, białe i zamknięte w sobie.

Jeśli więc tajemnica Krety jest tajemnicą dzieciennego pokoju, miłe to dziecko. Żywiły czasu, które śledził tutaj Herbert, nie odebrały mu łagodnego charakteru. Z każdego miejsca widać tutaj morze – pisał poeta.

„Dolina życia zakuta ze wszystkich stron przez jałowe góry”.

Nad brzegiem morza, w piasku i drobnych kamieniach, kwitną kępy białych liliowców. Można z nich zrobić secesyjny bukiet, ozdobę każdej sukienki. Tak widzę dzisiaj Kretę. Ozdobną, ale z umiarem. Otwartą, ale tylko do pewnej granicy. Słowo *labys* oznaczało topór o podwójnym ostrzu, a więc labirynt był pałacem toporów o podwójnym ostrzu. Nie wiadomo dokładnie, do czego służyły. Kto szuka podziemnych przejść, tajemniczych szlaków, płataniny i schowków, nie znajdzie ich. Fetysze Krety są zupełnie inne – to pinie, palmy, oliwki i cyprysy, które komponują twarze bóstw.

MARTA WYKA
krytyk literacki,
historyk literatury,
wydała ostatnio
tom szkiców
Punkty widzenia.

Marta Wyka

W związku z premierą filmu prasa i telewizja wciąż powtarza, że Sienkiewicz dostał w r. 1905 nagrodę Nobla za *Quo vadis*? Nic podobnego. Nagrodę przyznano mu za jego „znakomite zasługi jako pisarza epickiego”, a więc za całokształt twórczości. W przemówieniu ku czci laureata sekretarz Akademii Szwedzkiej C.D. af Wirsén szerzej nawet scharakteryzował *Trylogię* niż rzymską powieść Sienkiewicza. Inna rzecz, że jej światowy sukces przyczynił się zapewne do przyznania mu nagrody. (hm)

Jerzemu Kawalerowiczowi (a może rozmawiającemu z nim Zdzisławowi Pietrasikowi, „Polityka” nr 31) wydawało się, że skoro mówi się „Quo Vadis, domine?”, to powinno być także „Quo vadis, homine?”. Taką samą kuchenną łąciną posługują się dziennikarze „Gazety Wyborczej” (nr 204) Artur Włodarski i Sławomir Zagórski w rozmowie z trzema profesorami genetyki (sprostowanie ukazało się w nrze 310). Tymczasem „homo” należy do innej deklinacji niż „dominus” i w wołaczcu ma taką samą formę co w mianowniku, tzn. „homo”. Oczywiście, wie to dobrze papież i w swym przemówieniu po premierze filmu Kawalerowicz powiedział, jak trzeba: „Quo vadis, homo?”. Dzięki niemu poprawił się i Kawalerowicz i w wywiadzie dla „Rzeczypospolitej” (nr 210) użył już formy poprawnej. (hm)

Dwie inne pretensje do Kawalerowicza. W wywiadzie dla „Rzeczypospolitej” (nr 210) mówi on: „Tygellin, jak wiemy z historii, został później nawet cesarzem”. Tymczasem historia mówi, że jeszcze za życia Nerona, przeszedł na stronę Galby, a po jego zamordowaniu skazany na śmierć, odebrał sobie życie. A dalej Kawalerowicz twierdzi, że w filmie swym chciał pokazać jak „chrześcijaństwo zhumanizowało barbarzyński świat”. Nazwać „barbarzyńską” cywilizację, która wydała Horacego, Senekę, a w sto lat później Marka Aureliusza to chyba przesada. (hm)

Henryk Markiewicz w książce *Boy-Żeleński* podaje masowe powojenne nakłady jego utworów. Zapomniał jednak dodać, że w tej chwili ani jednego tytułu *Boya* w księgarniach znaleźć nie można... Przy okazji: wymieniony w tej książce autor kodeksu honorowego Bozewicz miał na

imię Władysław, a nie Antoni, jak podaje indeks (s. 239), a wydawca Czarski – Wacław, a nie Władysław jak czytamy na s. 156. (hm)

W zabawnym *Półprzewodniku po Krakowie* („Polityka” nr 30). Leszek Mazan pisze, że Kraków nie chciał gościć u siebie Adama Mickiewicza, bo „zbyt liberalne poglądy mogłyby gorszyć młodzież akademicką”. Tymczasem w r. 1849 rektor Józef Majer usilnie go zapraszał na katedrę literatury polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale otrzymał od ówczesnego gubernatora Galicji Wacława Zaleskiego informację, że zezwolenie na przyjazd poety jest niemożliwe ze względu na jego udział, na czele legionu, w walkach przeciw Austrii w r. 1848. Myli się też Mazan twierdząc, że autorem powiedzenia „obraz nędzy i rozpacz” był Michał Bałucki. Znaleźć je można w *Bajkach* Stanisława Jachowicza, wydanych w r. 1827, a więc gdy Bałuckiego jeszcze na świecie nie było. (hm)

Wciąż powraca w prasie bezzasadne twierdzenie, że Jan Lechoń był pochodzenia żydowskiego. Ostatnio powtórzyła to „Trybuna” (nr 165, *Zaginiony świat*), w dodatku przypisała to pochodzenie także Kazimierzowi Wierzyńskiemu. Ten, co prawda, nazywał się uprzednio Wirstlein, ale ojcem jego był spolszczony Austriak, matką – Polka. (hm)

Ze zdumieniem czytamy w „Aneksie Trybuny” (nr 161) dumne oświadczenie Nikosa Chadzini-kolau, że jest autorem pierwszego poetyckiego przekładu *Iliady* na język polski dokonanego z oryginału. Tymczasem – większość jego poprzedników, na pewno: Antoni Szmurło, Jan Czubek i Ignacy Wieniewski jako filologowie klasyczni z wykształcenia tłumaczyli z języka greckiego. Oczywiście, można powiedzieć, że „poetyckość” tych przekładów nie była zadowalająca (choć i to nie dotyczy Wieniewskiego) – ale to już inna sprawa. (hm)

W miesięczniku „Po ziemi” (nr 12/II) dziwne rzeczy wypisuje Marian Toporek. Twierdzi on, że „szkołę historyczną zwaną warszawską tworzyli historycy z kręgów Uniwersytetu Warszawskiego”, gdy tymczasem przedstawiciele tej szkoły (poza Adolfem Pawińskim) z rosyjskim wówczas

John Irving: *Wbrew regułom*, przełożył Jerzy Kozłowski, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2001.

Scenariusz filmowy nagrodzony w 2000 roku Oscarem.

John Irving – jeden z najciekawszych współczesnych prozaików amerykańskich – napisał ten scenariusz na podstawie własnej powieści *Regulamin tłoczni win*. Film *Wbrew regułom* (pod takim tytułem był wyświetlany w Polsce) zdobył dwa Oscary: za najlepszy scenariusz adaptowany dla Johna Irvinga i za drugoplanową rolę męską dla Michaela Caine'a, który grał doktora Wilbura Larcha.

Wbrew regułom to historia pewnego sieroty, Homera Wellsa. Doktor Larch, sprawujący pieczę nad sierocińcem, wprowadza go w arkana medycyny. Spór o aborcję powoduje, że Homer opuszcza sierociniec i Larcha. Nowe życie dostarcza mu więcej wrażeń, niż mógł przewidzieć. Za ich sprawą uzmysławia sobie, że nie może uciec od przeszłości i że reguły są po to, aby je łamać.

Colin Harrison: *Zgliszcza*, przełożył Maciej Raginiak, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2001.

„Przerażająca, wstrząsająca, szarpiąca nerwy powieść” („The Washington Post”).

Colin Harrison jest zastępcą redaktora naczelnego „Harper's Magazine”, mężem popularnej pisarki Kathryn Harrison. *Zgliszcza*, ambitny, wielowątkowy thriller, uchodzą za najlepszą z jego dotychczasowych książek.

Joyce Carol Oates: *Blondynka*, przełożył Mariusz Ferek, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2001.

Blondynka to zbeletryzowany portret Marilyn Monroe, intymny i bezlitosny jak żaden inny: portret dziecka, dziewczyny, kobiety, gwiazdy, nad którą zawisło fatum.

Wybitna amerykańska pisarka opowiada w swojej powieści o wrażliwej i utalentowanej Normie Jeane, która nieustannie przedefiniowuje swoją tożsamość, bez przerwy zmagając się z okrutnym losem, wciąż poszukując miłości: u enigmatycznej matki, nieznanego ojca, licznych kochanków.

W swojej najambitniejszej książce Oates bada życie wewnętrzne kobiety, której przeznaczeniem było stać się największą legendą Hollywood i najsłynniejszym symbolem seksu XX wieku.

Grzegorz Musiał: *Kraj wzbronionej miłości*, OPEN, Warszawa 2001.

Tom wierszy z ostatnich lat Grzegorza Musiała (1952) – poety, prozaika, tłumacza, redaktora bydgoskiego „Kwartalnika Artystycznego”, laureata licznych nagród, między innymi Nagrody im. Kościelskich. Zbiór przejmujący, rozliczeniowy, niezwykle dramatyczny, z tytułem wywiedzionym z Mannowskiej *Czarodziejskiej góry*.

Jerzy Sikora: *Demony mieszkają w nas*, Towarzystwo Miłośników Rajgrodu, Rajgród 2001.

Starannie wyselekcjonowany, oszczędny wybór wierszy księdza-poety (ur. 1959), także krytyka literackiego, eseisty, pracownika naukowego, adiunkta w Katedrze Literatury Polskiej XX wieku na Uniwersytecie im. Kardynała S. Wyszyńskiego w Warszawie. Trafnie określił kiedyś w „Nowych Książkach” lirykę ks. Jerzego Michała Łukaszewicz: „Krytycy zwracają uwagę na metafizyczny wymiar tej poezji, jej zwięzłość i oszczędność środków językowych, do czego dodać można dyskretny, ciepły humor /.../”.

Henry Miller: *Pamiętać, by pamiętać*, przełożył Marek Cegieła, Noir sur Blanc, Warszawa 2001.

To kontynuacja *Klimatyzowanego koszmaru*. Książka zachowuje ten sam reportażowy charakter, co część pierwsza, lecz wzbogacona jest o nowe, „publicystyczne wątki”. Obok galerii wspinających portretów osób ze świata sztuki, którymi Miller był zafascynowany i którym chciał oddać hołd, czytelnik znajdzie też dowcipne, prześmiewcze eseje i opowiadania, a ponadto pełen oskarżycielskiej pasji, żarliwy protest przeciwko wojnie, jakże nie przystający do atmosfery patriotycznego zapału, kreowanej przez amerykańskie media i polityków w chwili przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny. Z tego zresztą powodu książka mogła ukazać się dopiero w 1945 roku. Rozdział, w którym autor z wielką nostalgią

W tekście *Body* Dubravka Ugrešić („**Arkusz**”, sierpień 2001) przez pryzmat reklam analizuje świat amerykańskiego społeczeństwa, zawężony jej zdaniem do konsumpcjonizmu pod znakiem ciała. „Złotożółty sok pomarańczowy lśni w szklance rozświetlonej słońcem; (...) perłowe zęby wbijają się w jabłko z soczystym trzaskiem; (...) płatki owsiane w ciszy wpadają do mlecznego morza o porcelanowych brzegach; a wszystko jest takie *juicy*, ach, wszystko jest takie *crisp*-sy, mm, wszystko jest takie *crunchy*, mmm, (...).” Ugrešić pisze dalej, że amerykańskie reklamy wypowiadają i obsługują fundamentalną część amerykańskiego życia: ciało. Zresztą jest to część każdego życia, ale inni na to nie wpadli. Reklamy obsługują każdą część ciała, lecz najczęściej usta. Mówią, co pić, co ssać, co chrupać, co jeść. Ważne jest też wypróżnianie, żeby nie było skurczów żołądka, zaparcie, biegunek. Reklamy się przepłatają. Ciało najedzone trzeba jeszcze umyć, odchudzić, usadzić w samochodzie. Dla ciała posprzątać dom i za to wszystko zapłacić – stąd reklamy kart kredytowych i usług finansowych. Reklamy są serio, nie ma tu podtekstów i ironii: białe zęby sąsiadują z klejem do protez, nie budzi to śmiechu, a zachwyty, że takie skuteczne, potrzebne, zdrowe. Brak też seksu, amerykańska ideologia wyzuła ciało z funkcji seksualnych. Uświęciły to przepisy kodeksu karnego. Pożądanie wzbudza tylko krwista i piękna sztuka mięsa. Pożądanie wzbudza ciało jako rzecz do jedzenia. Wysportowane, jędrne, umięśnione ciało staje się przedmiotem marzeń kaniwali. Autorka kończy tekst refleksją nad funkcją ciała w jej ojczyźnie, Chorwacji. Ją nauczono, że ciało jest tanim celem na strzelnicy, w jej kraju ciałem karmi się kury. Jest zbyt zindoktrynowana, żeby poddać się wszystkim reklamom. Nie będzie radośnie konsumować i ćwiczyć. Interesuje ją tylko jedna reklama: skorzysta z usług mistrza Papaziana, da się po śmierci skremować i każe nabić swoimi prochami pociski. „Nareszcie będę 'szybka ja pocisk'! A gdzie skończę – (...) najzupełniej mi to obojętne. Albowiem ciało jest wieczne. Tylko duch jest przemijający.”

„George Grosz – świadek mijającego stulecia, artysta wielkiego miasta, malarz, grafik i rysownik, ilustrator, typograf, fotograf i kolażysta, fil-

mowy i teatralny projektant, poeta, kolekcjoner trywialności, dżentelmen wycięty z żurnalu.” Tak o artyście, który naprawdę nazywał się Georg Ehrenfried Groß pisze Ryszard Różanowski w artykule *Krytyk stulecia w barwach ochronnych* („**Rita Baum**” lato 2001). Grosz był typem wymuskanego dandysa, ale początkowo postaci i motywów szukał na marginesie społeczeństwa. W swoich rysunkach szybko stał się krytykiem świata mieszczańskiego (nie tylko Berlina, w którym żył i tworzył), polityki, wojska, Kościoła, nędzy, prostytucji. Brał udział w wystąpieniach dadaistycznych; blisko mu było do anarchistów i komunistów. Żywił pogardę dla sztuki, domagał się, by służyła rewolucji, zajmował się polityczną grafiką agitacyjną. Na jego obrazach pojawiała się cała galeria ponurych typów: nacjonalistów, socjaldemokratów, klechów, żołdaków, odmóżdżonych profesorów, mieszcuchów, Niemców odpowiedzialnych za powstanie III Rzeszy. Rozwój narodowego socjalizmu karykaturował, ale przyjmował z obawą. Naziści zagrażali mu, musiał uciekać do Stanów Zjednoczonych. W Nowym Jorku przeżył fascynację tym miastem, szkicował sceny uliczne. Jednak coraz częściej malował czarne wojenne wizje, nie uciekając mimo to od spokojnych, akademickich prac. W 1937 r. na wystawie „Entartete Kunst” zorganizowanej przez nazistów w Monachium jego prace zostały wyszydzone, a potem wycofane z niemieckich muzeów. (Polecam przy tej okazji sztukę Ingmara Villqista *Entartete Kunst*, zamieszczoną w „Dialogu” nr 5-6/2001 – pisałem o niej w poprzednim „Przeglądzie prasy”.) Po wojnie Grosz nie znalazł sobie już miejsca w sztuce i życiu. Wrócił do Berlina i zmarł po jednym z długich „pijackich rajdów”.

W artykule *Dada XXI wieku* Philip Léger zastanawia się nad możliwością istnienia dadaizmu we współczesnej poezji i sztuce. Wymienia kilka prób nawiązania do dada (neodadaizm) w ubiegłym stuleciu. Nie dość, że było ich niewiele, to wszystkie zaprzeczały szybko swej istocie przez... komercjalizację. „Największa nawet prowokacja może stać się towarem, produktem rynkowym, a więc sama zasada dadaizmu i wolność sztuki stają się odtąd szaleństwem, niemożliwym bez obrócenia ich w przedmiot handlu (Scum Transmission, które wywołało skandal w roku



Stanisław Frenkiel, *Festival at St. Malo*, 1996, olej na płótnie, 122 x 91 cm.

Reprodukcja Album

wane w „Pograniczach” fragmenty prozy pochodzą z książki *Die Freiheit riecht nach Vanille*, która dotychczas nie została przetłumaczona na język polski. Bohaterem tej powieści jest Naletnik – emigrant, wędrownik, masowy morderca o niemiecko-polsko-łużycko-żydowskim rodowodzie (spotykamy go m.in. na autostradzie do Hamburga). Książka została wysoko oceniona i nagrodzona w Niemczech, zebrała dobre recenzje w prasie. Może ktoś odważy się wydać ją u nas.

W „Pograniczach” polecam jeszcze ciepłe i sympatyczne opowiadanie Jacka Włoska: *Ogród*. Rzecz jest o przygodach pewnego literata, który okradziony w pociągu do Krakowa trafia do pracy w ogrodzie zoologicznym. Nie będę opowiadał – zachęcam do lektury. A na koniec także tekst z „Pograniczy”: *Słuchając muzyki końca XX wieku* Agnieszki Roguskiej. Rzecz o tym, jak udoskonalanie instrumentów zuboża muzykę.

Robert Kozela



Stanisław Frenkiel, *Ship of Fools*, 1982, olej na płótnie, 91 x 122 cm.

Reprodukcja Album

*Ale teraz siedzę na skraju pustej plaży,
raczę się baśniami o krokodylach i możnowładcach,
i z bojaźnią wspominam gotyckie odległości,
kiedy do Boga było bliżej niż do Indii.*

*Tak, znałam takie słowo. I prawda, że od ciebie.
W cerkwi za wydmą Mikołaj, patron łowczyń pogogów
unosi teraz brew i szepce „dziecko, dziecko”.
Popatrz, siedzę na piasku w kolorze jego brody,
a nikt nie udowodnił, że drugi brzeg istnieje.*

U **Mirosława P.** z Czernicy koło Rybnika (niestety, listy pisane odręcznie nie zawsze da się prawidłowo odczytać – za ewentualne błędy przepaszamy!) zauważyliśmy ładną „dyskusję” z Herbertem i Zagajewskim, dążenie do dobrej, zwartej konstrukcji wiersza, jak w najlepszych tu realizacjach: *Widzeniu II* oraz *Madame Bovary*.

Jerzy S. Cz. z Warszawy prezentuje pogląd, że sam wzniosły, „słuszny” temat obroni artystyczny kształt wiersza. To, naszym zdaniem, złudna wiara.

Pani **Elżbiecie B. P.** z Chorzowa radzimy uważniej formułować myśli. Fragment utworu *Chińskie pióro i ON -*

*papieros chciałam zapalić od
filtra kiedy zmieniłam jego
położenie względem ust*

brzmi raczej nieporadnie. Ponadto, jeśli mówić Pani w wierszu o chłopcach, nie może ich być „zawsze kilkoro”, bo chłopcy są raczej tej samej płci, i w związku z tym jest ich zawsze „kilku”.

Piotr T. z Myszkowa potrafi z powodzeniem używać swojej nieprzeciętnej wyobraźni, ale trzeba uważać, gdzie kończy się istotny artystycznie koncept, a zaczyna udziwnienie i epatowanie obrazem.

Na koniec zostawiliśmy sobie rzecz godną podziwu, choć również zastanawiającą. **Krzysztof L. Jr** z Myślenic parafrazuje od kilku lat niektóre pieśni *Iliady*. Tu zdajemy się być bezradni – zwykle autorzy chcieliby szybko osiągnąć „dojrzałość”, „profesjonalizm” i coś wydrukować w prasie literackiej, a następnie wydać debiutancki zbiorek. Tu widzimy godną w dzisiejszych czasach kultu szybkiego sukcesu niepraktyczność twórczego zamierzenia. Nie jesteśmy w stanie ocenić tych parafraz, zastanawiamy się też, czy prócz autora mogą kogoś usatysfakcjonować, jeśli mamy dostęp do kilkunastu bodaj przekładów Homeryckiego dzieła pióra wielkich poetów, wytrawnych badaczy starożytności, filologów klasycznych. Radzimy autorowi również przejrzenie – obok tłumaczeń Ignacego Wieniewskiego i Franciszka Dmochowskiego – przekładu Kazimiery Jeżewskiej z wydania Biblioteki Narodowej. Może warto skonsultować się ze specjalistą – filologiem klasycznym z jakiejś uczelni? Powodzenia.

lewizji, radiu. To był cuchnący czas. Ale nie tylko. Brutalności i zakłamaniu propagandy towarzyszyła brutalność fizyczna. Przede wszystkim w Warszawie, ale w Krakowie także.

3. My, przepisuję nazwiska z posiadanej przeze mnie kopii „Aktu oskarżenia” (Kraków, dnia 7 września 1968 r.):

Zbigniew Grochal, student historii sztuki oraz studenci polonistyki: Jerzy Simon, Andrzej Pańcyszyn, Małgorzata Szalińska, Bogusław Sobczuk i Leonard Neuger (pomijam tu dwie osoby dołączone do „nas” na siłę), znaleźliśmy się nagle, w kwietniu 1968 roku w więzieniu; oskarżeni o przestępstwo z art. 27 k.k. w zw. z art. 170 k.k., niekiedy z art. 26 k.k. w zw., 170 k.k. i art. 155 k.k. Mówiło nam to wówczas dokładnie tyle, co dzisiejszemu czytelnikowi. Mężczyźni znaleźli się na Montelupich. Ha, „mężczyźni”, schlebiam sobie! Byliśmy bardzo młodzi, bardzo naiwni i słabo wykształceni; członkowie, pożałuj Boże, organizacji założonej prawdopodobnie przez SB, rzecz jasna, nader sprawnie w odpowiedniej chwili zlikwidowanej przez to samo SB.

4. Nie umiałem siedzieć. O tym się człowiek dowiaduje za późno i zawsze na sobie. Nudziło mi się okropnie, nie umiałem się porządnie skupić, choć sporo czytałem. Nuda izolacji (żadnych listów przez jakieś 2 miesiące, żadnych widzeń przez jakieś 4 miesiące). Ale też lęk przed niewiadomym. Po 2 miesiącach list od rodziców. Potem, zatem chyba w czerwcu 1968 roku, jeszcze jeden list. Od adiunkta w Katedrze Filologii Polskiej (czy jak to się wówczas nazywało?), pani doktor Danuty Wesołowskiej. Wesołowska prowadziła z nami ćwiczenia z historii języka. Jednak list od pani doktor był wstrząsem. Po pierwsze, zwracała się do mnie po imieniu. W 600-letniej historii UJ na „ty” ze studentem przechodziło się najwcześniej po 11 latach zażyłej przyjaźni. Po drugie był to list nie tyle miłosny, ile wyprowadzony (jak się wyprowadza wnioski) z trwającego już rzekomo jakiś czas intymnego związku. List, niestety zaginął, pisany był nie tyle do mnie, bo przecież musiałem się o tym naszym związku jakoś dowiedzieć, co do oficera śledczego: stylizowany był na list ukochanej do żołnierza czy skażanca, i zawierał zdjęcie legitymacyjne (już teraz:) Danusi. Wprowadzał nowy wątek do śledztwa, świadczył o intymnych stosunkach naszej grupy przestępczej z kadrą naukową. Danusia wystawiła się na widok publiczny i na razy...

Jak to się wszystko stało? Danusia, dowiedziawszy się o naszym aresztowaniu, czym prędzej po-

biegła do mego ojca. Jak go przekonała, że nie jest prowokatorką, nie wiem, ale przekonała. Zaczęli wspólnymi siłami, i jeszcze z Elżbietą Kramówną, ratować nas z więzienia. Co mnie dzisiaj uderza w jej działaniach, to anonimowość, arcyprywatność, nawet intymność. Myślę, że była to jedna z najważniejszych odpowiedzi na pomarcowe czasy. Zabiegała o pomoc u krakowskich psychiatrów (prof. Antoniego Kępińskiego, dr Jana Mitarskiego-„Bebka”, Jana Masłowskiego, którego potem bezzasadnie, ale zgodnie z duchem epoki nazywaliśmy między sobą Buttermanem). Przez swego ojca (prof. Stanisława Jodłowskiego), który był wtedy posłem na Sejm, u samego Józefa Cyrankiewicza (nieskutecznie), u swojego kolegi w Komitecie Wojewódzkim Partii (skutecznie), w Związku Literatów Polskich (biedacy, sami wtedy obrywali)...

Czy można było taką walkę wygrać? Prywatność przeciw oficjalności; łagodność przeciw chamstwu; przyjaźń przeciw nienawiści? Myślę, że nie można jej było przegrać. Danusia umiała stworzyć wokół siebie atmosferę zaufania, ciepła, ale nie była to jakość statyczna. Czyli że nie pławiliśmy się w ciepłej i serdeczności, ale, by tak rzec, emanowaliśmy nim po prostu. Aktywa: przyjaźń, która niekiedy trwa do dnia dzisiejszego, choćby z przerwami, choćby tylko w sercu. Ale nie tylko...

Psychiatrzy mieli dojścia do więzienia. Na Montelupich zostałem wezwany do psychiatry, który wyszeptał mi w ucho, że jeśli tylko dostanę wyrok, to jego w tym głowa, żeby w więzieniu nie siedział. Po wyjściu na wolność, we wrześniu 1968, kiedy groziła mi jednak odsiadka, bo prawomocny wyrok brzmiał: 10 miesięcy bez zawieszenia kary, spotkałem (oczywiście stała za tym Danusia) Antoniego Kępińskiego i Jana Mitarskiego, którzy w końcu położyli mnie w klinice z rozpoznaniem: depresja reaktywna (żart losu: 20 lat później zachorowałem na nią naprawdę). Ba, przepisuję z pisma wystosowanego przez rzecznika dyscyplinarnego dla spraw studentów, doc. (wówczas jeszcze) dr Jerzego Kopffa do Prorektora UJ, prof. dr Władysława Siedleckiego:

„(...) Nadto należy wziąć pod uwagę fakt, że L. Neuger, jak wynika z opinii lekarskiej Poradni Zdrowia Psychicznego dla Studentów Szkół Wyższych w Krakowie (pismo z dnia 4 lutego 1969) jest osobnikiem szczególnie skłonny do nieprzemyślanych reakcji afektywnych i nadmiernie impulsywnym, które to cechy charakteru miały niewątpliwie wpływ na dopuszczenie się przez niego czynów, objętych aktem oskarżenia. (...) Powodują one u niego czę-

ność, niezależność i wolność. I to właśnie technikom manipulacji językowej Pani Profesor poświęcała swoje pasjonujące wykłady.

Jednocześnie jednak uczyła nas Pani Profesor tego, że słowom należy ufać, bo poprzez słowo wyraża się człowiek. Uczyła nas, że właśnie dlatego słowo należy otaczać szacunkiem i opieką.

Pani Profesor tryskała energią i poczuciem humoru jak chyba nikt inny. Często trudno było zrozumieć, skąd brał się ten swoisty, inteligentny optymizm w czasach, które optymistów dziesiątkują jak zaraza.

Taka postawa zasługuje na to, by ją uszanować, i – zachowując należytą powagę – uśmiechnąć się do wspomnień przywołując któryś z licznych wypowiedzianych przez Panią Profesor żartów. Przypomnieć sobie – i jeszcze raz przemysleć, jaka nauka z nich wypływa. Bo Pani Profesor Danuta Wesołowska posiadała ten niezwykle cenny i niezwykle rzadki dar nauczania poprzez radość; posiadała umiejętność pogodnego mówienia o rzeczach wielkich i poważnych.

To, w jaki sposób będziemy ją wspominać, stanowić będzie miarę tego, czego się od Niej nauczyliśmy.

Michał Hanczakowski
Michał Nawrocki

12. KRAJOWE TARGI KSIĄŻKI I HARRY POTTER

Tegoroczne, wrześniowe targi książki w Warszawie były zdecydowanie mniejsze, skromniejsze niż w poprzednich latach. Trwały od czwartku do niedzieli (20-23 września). W pierwszych dniach, kiedy nie było jeszcze tłumów, można było obejść wszystkie stoiska w około kwadrans. Kilku poważnych wydawców zrezygnowało z uczestnictwa, potwierdzając tym samym kryzys warszawskiej formuły targowej (wydawców było 106 – o siedemnastu mniej niż w roku ubiegłym, gdy przykładowo na 5. Krakowskie Targi Książki w październiku wybiera się ich ponad 230).

Wśród stosunkowo niewielkiej oferty nowości wydawniczych znalazły się m. in.: specjalnie promowane przez Wydawnictwo Literackie *Listy pięcętowane sosem, czyli gdzie karmią najlepiej w Polsce. Przewodnik* Piotra Bikonta i Roberta Małkowicza oraz najnowszy zbiór opowiadań Kazimierza Orłosa pt. *Drewniane mosty*, a także *Fanta-*

styczny Lem – najlepsze opowiadania Stanisława Lema, *Boyowie. Zofia i Tadeusz Zeleńscy* Barbary Winklowej (w serii „Pary”) i *Historia Partii Umiarkowanego Postępu (w Granicach Prawa)* Jaroslava Haszka w znakomitym przekładzie Jacka Balucha.

Biblioteka „Więzi” zaprezentowała *Węzeł gordyjski oraz inne pisma rozproszone 1948-1998* Zbigniewa Herberta, opracowane przez Pawła Kądziałę pisma – blisko 300 tekstów – rozsiane po czasopismach, to m. in. szkice o sztuce polskiej i obcej, wspomnienia o ludziach, recenzje książkowe i teatralne, rozmowy z pisarzami i malarzami, reportaże.

Tytus Holdys, organizator Fan Clubu Harry'ego Pottera zaprosił do specjalnego stoiska poznańskiej oficyny Media Rodzina wielu wspaniałych, „magicznych” ludzi. W piątek, 21 września, odbyła się konferencja prasowa poświęcona zbliżającej się premierze czwartego tomu przygód Harry'ego *Harry Potter i czara ognia*. Czterdziestu pięciu szczęśliwców dziennikarzy, którzy prócz materiałów prasowych otrzymali ów, najgrubszy z dotychczasowych, tom przygód małego czarodzieja, musiało podpisać specjalny akt lojalności, że nie zdradzą zakończenia powieści przed jej oficjalną premierą (północ z 28 na 29 września).

Z edycji innych oficyn na uwagę zasługują: REBIS-u nowa powieść amerykańskiego noblisty Saula Bellowa *Ravelstein*, najnowsza proza Williama Whartona *Niedobre miejsce* (znów – jak w przypadku *Spóźnionych kochanków* – o miłości w Paryżu, ale inaczej) i 150. tytuł znakomitej serii „Salamandra” – *Wszystkie dusze* Hiszpana, Javiera Mariasa; tom wierszy Julii Hartwig *Nie ma odpowiedzi* i arcyciekawa, długo oczekiwana *Leśmian. Encyklopedia* Jarosława Marka Rymkiewicza w Wydawnictwie Sic!; wywiad-rzeka z Tadeuszem Konwickim *Pamiętam, że było gorąco*; *Zima* Andrzeja Stasiuka i *Tequila* Krzysztofa Vargi z Wydawnictwa Czarne.

Laureatem branżowej nagrody Ikar 2001 został EMPIK, a specjalne wyróżnienia przypadły gdańskiemu Wydawnictwu słowo/obraz/ terytoria i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Tarnobrzegu.

Tegoroczne Krajowe Targi Książki odwiedziło ponad 18 tysięcy miłośników książki.

Przepraszamy

Panią Barbarę Rzeźwicką-Gajdek za zmianę imienia w poprzednim numerze DL.

festiwal literacki

22-25 listopada 2001

www.ha.art.pl

Tekstyliad

Portret_wilengowska_sieniewicz

Studium_wiedemann_kuczok_kobierski_witkowski_dajnowski

Ha!art_franczak_shuty_grzesik_orbitowski_palmowski_goździkowski

Klub_pod_jaszczurami/galeria_TAM/klub_Żaczek

Nowa powieść

Umberto Eco

w *Noir sur Blanc*

BAUDOLINO



www.noirsurblanc.com.pl